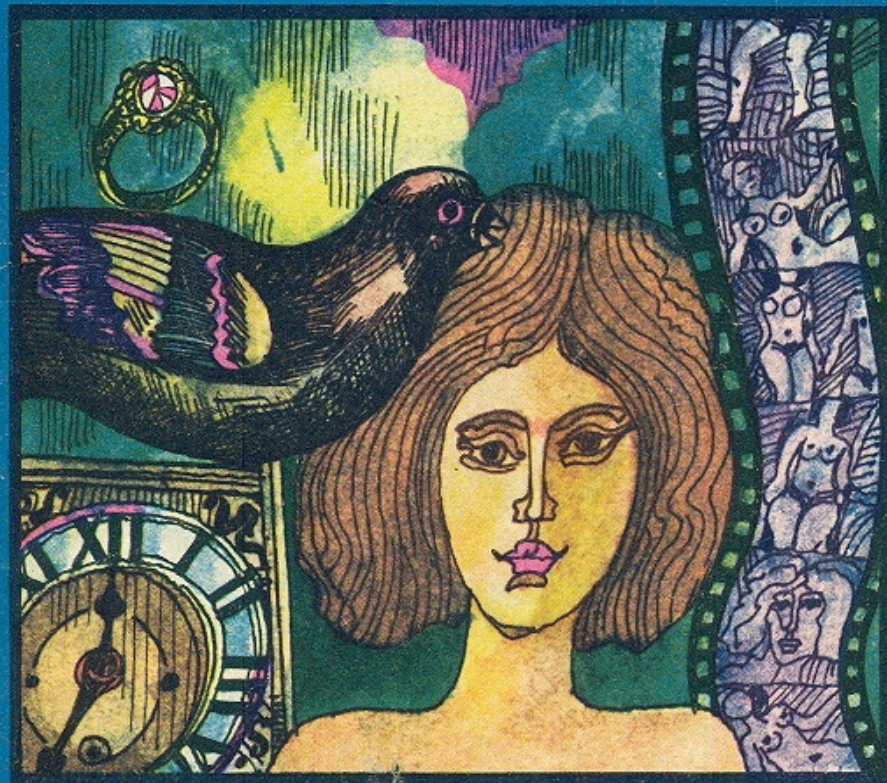


... *Ewa wzywa 07...*



Zygmunt Zeydler Zborowski

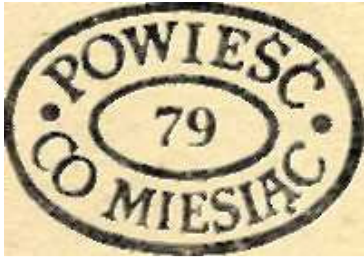
KUKUŁKA BEZ ZEGARA



Ewa wzywa 07., Ewa wzywa 07...

Zygmunt Zeydler Zborowski

KUKUŁKA BEZ ZEGARA



ISKKY - WARSZAWA · 1975

ROZDZIAŁ I

Postanowiła przyrządzić na kolację sałatkę — taką, jaką bardzo lubił Jurek. Wędzona makrela, drobno pokrojona papryka, pietruszka, jajka na twardo i to wszystko przyprawione majonezom.

Właśnie zabrała się do .obierania makreli, kiedy zadźwięczał dzwonek. Czyżby Jurek zapomniał kluczy? Pośpiesznie wytarła ręce, zdjęła fartuszek i wybiegła do przedpokoju.

To nie był Jurek. To była pani Krajnowska. Elżbieta z trudem zdobyła się na powitalny uśmiech.

— O! Dzień dobry.

— Czy można do pani na chwileczkę? Nie przeszkadzam?

— Ależ skąd. Proszę bardzo, niech pani wejdzie.

Starsza dama błyskawicznie znalazła się w przedpokoju i zaczęła obcałowywać Elżbietę.

— Dobry wieczór, kochanie, dobry wieczór. Strasznie dawno nie widziałyśmy się. Co słyhać? Świetnie pani wygląda. Zawsze taka młodziutka, taka świeżutka, taka apetyczna.. A czy pan Jureczek w domu?

— Nie, jeszcze nie wrócił — odparła Elżbieta, nieco zaskoczona tą niezwykłą serdecznością.

— Może to i lepiej.

— Nic rozumiem.

— Widzi pani, kochana pani Ełzuniu, wolę przeprowadzić tę rozmowę z panią w cztery oczy. Są pewne sprawy...

Klżbieta poczuła nagły niepokój. Nie lubiła takich wstępów. Otworzyła drzwi pokoju.

— Proszę. Przecież nie będziemy tu rozmawiały.

Krajnowska szybko zlustrowała całe mieszkanie. Zajrzała to tu, to tam, dotknęła firanek, kwiatów stojących na oknie, aż wreszcie opadła z westchnieniem na fotel.

— Bardzo przyjemnie urządziliście się. Strasznie dawno u was byłam. Chyba jakieś dwa lata temu, a może jeszcze dawniej? Wtedy byłyśmy razem z Wandeczką. Pamięta pani? Także jakoś na wiosnę. — Pociągnęła palcem po politurowanym stoliku. — Okropnie się kurzy w tej Warszawie. Coś makabrycznego. Ledwie człowiek sprzątnie, a tu już...

- Rzeczywiście, bardzo się kurzy — przyznała Elżbieta, zadowolona, że właśnie dziś rano przejechała odkurzaczem swoje M-3. Wprawdzie nie spodziewała się gości, ale tak ją nagle ogarnęła żądza sprzątania. O tym stoliku oczywiście zapomniała. — Czy można panią poczęstować herbatą?

Krajnowska energicznie zamachała rękami.

— Nie, nie, ślicznie dziękuję. Lekarz polecił mi unikać płynów. Zresztą ja tylko na chwileczkę. Chciałam z panią porozmawiać. Niechże pani siada, pani Elżuniu. Elżbieta usiadła i niespokojnie spojrzała na swojego gościa.

— Słucham?

— Widzi pani... Nie chciałabym zrobić pani przykrości, ale uważam to sobie za swój obowiązek... Zdecydowałam się panią odwiedzić, żeby pomówić o Wandeczce.

— O mamie? A co się stało?

— Nie, nie... Jeszcze się nic nie stało — Krajnowska znowu zatrzepotała rękami.

— Tylko... tylko uważam, że musimy się wspólnie zastanowić...

— Nad czym mamy się zastanawiać?

— Chodzi o to, że powinna pani mamusię zaprowadzić do lekarza.

— Mama była nie tak dawno u lekarza. Przepisał jej jakieś zastrzyki.

— Ja nie mam na myśli internisty. — Krajnowska zniżyła głos i rozejrzała się, jakby w obawie, że ktoś ją może podsłuchać. — Tutaj chodziłoby o psychiatrę.

— O psychiatrę?

— Tak, kochana pani Elżuniu. właśnie mamie potrzebny jest psychiatra, dobry psychiatra.

— Ale dlaczego? Nie rozumiem. Krajnowska wyjęła z torebki lusterko. puderniczkę, szminkę i zaczęła sobie z zapałem poprawiać maquillage.

— Czy Wandeczka... czy mamusia nigdy nie wspominała pani o tych zjawach?

— Ach, o tym pani mówi — roześmiała się Elżbieta. — Owszem, opowiadała mi te dziwne historyjki, ale przecież nie brałam tego poważnie.

— Nie ma się z czego śmiać — powiedziała nieco urażona Krajnowska. — To są bardzo poważne sprawy. Mamusia pani od czasu śmierci świętej pamięci Michała bezustannie mówi o tym widmie, o tych jakichś zjawach. To są stany

obsesyjne. Ona żyje w ciągłym strachu, w ciągłym przerażeniu. Wczoraj musiałam u niej nocować. Prosiła mnie o to. Błagała, żebym jej nie zostawiała samej. — No i co? Widziała pani ducha? — spytała Elżbieta.

Krajnowska zgarnęła do torby przybory toaletowe.

— Widzę, moja złota, że pani jest usposobiona żartobliwie. Wobec tego nie zabieram czasu, żegnam.

Elżbieta zatrzymała ją energicznym ruchem ręki.

— Niechże się pani nie obraża. Przepraszam. Ale musi pani przyznać, że trudno te historie o duchach brać poważnie.

— Przecież nie chodzi u duchy — zniecierpliwiła się Krajnowska. — Chodzi o psychiczny stan Wandeczki. Wydaje mi się, że pani powinna się bardziej zainteresować swoją matką.

— Dotychczas mama była osobą aż nazbyt samodzielną — powiedziała Elżbieta.

— I w dalszym ciągu jest samodzielna, tylko te niezwykle wizje, które ją przesładują... Zaczynam się o nią bać. Dlatego przyszedłam do pani.

Elżbieta pokiwała głową.

— Dobrze. Zadzwońię do mamy i umówię się. Bardzo dziękuję, że pani mnie o tym powiadomiła.

— Uważałam to za swój obowiązek — Krajnowska wytarta chusteczką okrągłą, pucowałatą twarz i wstała. — Niech pani tylko nie wspomina Wandeczce o naszej rozmowie. To mogłoby popsuć stosunki między nami.

— Może pani być zupełnie spokojna — zapewniła z ożywieniem Elżbieta. — Zachowam całkowitą dyskrecję. I jeszcze raz dziękuję, że mnie pani odwiedziła — dodała odprowadzając swojego gościa do przedpokoju.

Wróciła do sałatki.

Ta baba popsowała mi dobry nastrój — myślała, drobno siekając jajka.

Teraz przypomniała sobie dokładnie ostatnie spotkanie z matką. Była wtedy zajęta zupełnie czym innym i jednym uchem słuchała opowieści o zjawach z tamtego świata. Zresztą przywykła już od dawna, właściwie od dzieciństwa do wróżb, seansów spirytystycznych, do talerzyków, tańczących stolików, kabał. Mama uwielbiała kontaktować się z przybyszami z zaświatów, a kiedyś nawet próbowała i czarnej magii. Toteż pojawienie się ducha niedawno zmarłego Michała nie wydawało się sprawą specjalnie sensacyjną.

Skończyła przyrządzać sałatkę i poszła do telefonu. Nakręciła numer. Po chwili posłyszała podniecony głos mamy. .

— To ty, Elżuniu ? Wyobraź sobie, że znowu był.

— Kto?

— No jak to kto? Michał. Ja chyba zwariuję. To jest ponad moje siły.

— Mamo! Na miłość boską — powiedziała energicznie Elżbieta — .przestań się sugerować tymi bzdurami. Przecież nie możesz brać na serio takich rzeczy. Zlituj się! Nie myśl o tym.

— Łatwo ci mówić. Jakżeż ja mogę nie myśleć, kiedy ja go widzę? Pojawia się. Nic nie mówi i znika. To jest kara, Elżuniu, to jest kara.

— Głupstwa pleciesz, mamó. Jaka znowu kara? Za co?

Głos w słuchawce był ledwie dosłyszalny:

— Przecież wiesz, że pragnęłam jego śmierci.

— Dajże spokój — zdenerwowała się Elżbieta. — Nie wmawiaj w siebie podobnych bredni. Zajmij się czymś. Poczytaj coś. Idź do którejś z tych twoich kum albo wybierz się do kina. A propos. Może pójdziemy jutro do „Skarpy”? Kupię rano bilety i zadzwonię do ciebie.

Rozmowa z matką nie poprawiła Elżbiecie humoru. Krajnowska miała rację. To jednak nie wyglądało dobrze. Trzeba było coś postanowić. Może Jurek ma jakiegoś zaprzyjaźnionego psychiatrę? A w ogóle dlaczego on jeszcze nie wrócił? Gdzie się znowu włóczy? Ostatnio zrobił się nieznośny z tymi wieczornymi powrotami do domu. Mógłby chociaż zadzwonić, że spóźni się na kolację. Przyszedł dopiero około dziesiątej. Twarz miał chmurną i czuć było od niego alkohol.

— Znowu piłeś — stwierdziła Elżbieta obojętnie.

— Spotkałem kolegę.

— Czy ty nie za często spotykasz kolegów? Zjesz trochę sałatki? Zrobiłam taką, jak lubisz.

Skrzywił się.

— Dziękuję. Nie jestem głodny. Może później...

— Już dziesiąta. Później pójdziemy spać.

Wzruszył ramionami i włączył telewizor. To był najlepszy sposób na przerwanie niewygodnej rozmowy.

Zostawiła go w spokoju. Wiedziała, że to nie jest odpowiedni moment do robienia wymówek. Poszła do kuchni i wstawiła sałatkę do lodówki. I ona także straciła apetyt. Rozmowa z Krajnowska, potem telefon do mamy, a teraz znowu podpity Jurek... Siła złego na jednego. Stanowczo nie udał się ten wieczór, który miał być bardzo miłym wieczorem.

Nazajutrz poszły do „Skarpy”. Przed kinem spotkały się w „Nowym Świecie”. Elżbieta chciała porozmawiać z mamą.

Pani Wanda zjawiała się punktualnie. Była jak zwykle dosyć ekstrawagancko, aczkolwiek niezbyt schludnie ubrana. Jakiś historyczny żabot, koronki przy rękawach, duża broszka z prawdziwymi turkusami, naszyjnik z „Jablonexu” a do tego wszystkiego fantazyjnie powyginany kowbojski kapelusz. Popielaty kostium był może kiedyś elegancki, ale obecnie domagał się gwałtownie usług pralniczych. Maquillage starszej pani również pozostawiał wiele do życzenia.

— Siadaj, mamó — powiedziała trochę nerwowo Elżbieta, pragnąc jak najprędzej odwrócić uwagę kawiarnianych bywalców od ich stolika. — I błagam cię, zdejmij ten kapelusz.

— Czego ty chcesz od mojego kapelusza? Może nieładny?

' — Ależ,, owszem... bardzo ładny, tylko... tylko trochę nazbyt oryginalny.

— Teraz się właśnie takie nosi — powiedziała pani Wanda, ale kapelusz zdjęła, odsłaniając rzadkie, ufarbowane na fioletowo włosy.

Zamówiły kawę i ciastka. Obydwie lubiły słodczyce. Po chwili Elżbieta powiedziała :— Chciałam z tobą. mamó, pomówić. Bo właśnie,..

— Wyobraź sobie, że teraz przychodzi prawie codziennie — przerwała jej pani Wanda. — To jest bardzo denerwujące. — W głosie jej wyczuwało się nie tyle niepokój, .co ekscytację, wywołaną sensacyjnym zdarzeniem. — Ale ty mi oczywiście nie wierzysz.

— Posłuchaj, mamó. — Elżbieta przybrała ton łagodnej, choć stanowczej perswazji. — Tak dalej być nie może. Musisz zdać sobie sprawę z tego, że ulegasz jakimś halucynacjom. To jest chorobliwe. Powinnaś poradzić się lekarza neurologa.

— Przypuszczasz, córeczko, że zwariowałam?

Elżbieta potrząsnęła głową.

— Nie przypuszczam. To znaczy... jeszcze nie. Ale jestem zaniepokojona. Mówię zupełnie poważnie. To są stany obsesyjne. Powinnaś pójść do dobrego lekarza. Koniecznie.

— Doskonale wiesz, że ja wyłącznie mam zaufanie do doktora Buczyńskiego — powiedziała stanowczo pani Wanda i z zapalem zaczęła spożywać sernik wiedeński.

— A byłaś u doktora Buczyńskiego?

— Byłam. Parę dni temu.

- Mówiłaś mu o tych twoich przywidzeniach ?

— To nie są żadne przywidzenia — zirytowała się pani Wanda. — A na ten temat nie rozmawiałam z doktorem Buczyńskim, ponieważ on jest stuprocentowym materialistą. Z nim w ogóle nie można mówić o tych sprawach.

— A jak z twoim sercem? — spytała Elżbieta.

— Doktor Buczyński stwierdził znaczną poprawę. Powiedział, że elektrokardiogram zupełnie dobry. Nawet był zdziwiony. Przepisał mi tylko jakieś kropelki i powiedział, żebym unikała gwałtowniejszych wzruszeń. Łatwo mu mówić...

— Bardzo cię proszę, mamó. idź do neurologa. Albo jeżeli chcesz, ja porozmawiam z doktorem Buczyńskim.

— Ani się waż! Nie mieszaj Buczyńskiego do tych spraw.

Elżbieta bezradnie spojrzała na matkę.

— Ale coś przecież trzeba zrobić. Trzeba coś konkretnego przedsięwziąć. Nie mogę cię lak zostawić.

Pani Wanda uśmiechnęła się i w przypiływie czułości pogładziła córkę po dłoni.

— Dziękuję ci, kochanie, że tak się o mnie troszczysz. Ale nikt mi pomóc nie może, żaden doktor. Żaden. Nikt, absolutnie nikt.

— Jednak tak dłużej żyć niepodobna. W stałym napięciu... — upierała się Elżbieta.

— Szkoda, że mi nie wierzysz — westchnęła pani Wanda i włożyła kapelusz. — Chodźmy już. Spóźnimy się do kina.

Film był zupełnie niezły i bawiły się dobrze. Po skończonym seansie pani Wanda zaczęła wykazywać objawy zdenerwowania.

— Odprowadzisz mnie do autobusu?

— A może zanocujesz u nas? — zaproponowała miękko Elżbieta.

— Nie, nie. Pojadę do siebie. Wiesz przecież, że Jurek bardzo nie lubi, jak ja u was nocuję. Odprowadź mnie tylko do przystanku.

Zaledwie przeszły na drugą stronę Marszałkowskiej, nadszedł pośpieszny autobus „A”. Pani Wanda mieszkała na Malczewskiego.

Elżbieta wolnym krokiem wracała do domu.

Co robić? — myślała zafrasowana. Zdawała już sobie sprawę, że natychmiastowa interwencja psychiatry, dobrego, mądrego psychiatry jest konieczna. Ale przede wszystkim gdzie takiego znaleźć, a po wtóre jak zmusić mamę do odwiedzeniu lekarza, który by nie był doktorem Buczyńskim? Pograżona w niewesołych rozmyślaniach znalazła się na Wilczej.

Jurek wyjątkowo pilnował domowego ogniska. Był zupełnie trzeźwy. Przygotował kolację, posłał tapczan, wyrzucił śmiecie. Całe jego zachowanie cechowała serdeczna uprzejmość. Najwyraźniej przeżywał okres skruchy.

Elżbieta pochwaliła kolację, uśmiechnęła się sympatycznie do męża i zaproponowała, żeby wcześniej poszli spać. Przyjął tę inicjatywę z prawdziwym entuzjazmem. Dawno już się porządnie nie wyspał. Kiedy się rozbierali, spytał:

— Jak film?

. — Bardzo przyjemny. Szkoda, że z nami nie poszedłeś.

— Nie mogłem. Wiesz przecież, że umówiłem się ze Stefanem. Byłaś z mamą?

— Tak.

— Jak zdrowie mamy?

Zawahała się. Postanowiła jednak naradzić się z Jurkiem. Opowiedziała mu o wizycie Krajnowskiej i o rozmowie z matką.

Słuchał uważnie. Kiedy skończyła, powiedział z przekonaniem:

— Wybacz, mamusiu ma tęgiego szmerglu.

— Ale co robić? Poradź. Wzruszył ramionami.

— Cóż tu można radzić? Zrobiła obrażoną minę.

--Ciebie to w ogóle nic nie obchodzi, a ja naprawdę się martwię. To jednak moja matka.

— Przepraszam cię. Po prostu... Zadzwoił telefon.

— To ja, Elżuniu. Czy wiesz, że znowu przyszedł?! Widziałam go... Przysięgam ci, że go widziałam. To nie była żadna halucynacja. Naprawdę go widziałam.

Możesz mi wierzyć.

— Czy masz coś na uspokojenie? — spytała Elżbieta.

— Mam relanium, neospasminę i walerianę.

— To użyj relanium i połóż się spać. Uspokój się, mamu. Proszę cię. A może chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

— Nie, nie, nie trzeba. Już go nic ma. Żałuję, że cię tu ze mną nie było. Zobaczyłabyś na własne oczy. Dobranoc, córeczko. Zadzwoń do mnie rano.

Elżbieta wolno odłożyła słuchawkę. Cała ta historia zaczynała ją coraz bardziej denerwować.

Jurek przyciągnął ją do siebie.

— Chodź — szepnął, dotykając wargami jej włosów.

Odsunęła się od niego.

— Zostaw. Nie mam nastroju.

— O co ci chodzi? Ciągłe mama?

— Taka jestem niespokojna. Chyba zadzwonię do niej jeszcze raz.

— To dzwoni — mruknął ze złością. Przewrócił się na drugi bok i sięgnął po książkę leżącą na stoliku.

Elżbieta nerwowo nakręciła numer. Nikt nie odbierał telefonu. Powtórnie spróbowała się połączyć. Cisza. Odczekała chwilę i znowu podniosła słuchawkę.

— Mama się nie zgłasza... — powiedziała wreszcie.

Jurek wzruszył ramionami.

— Może się kąpie. Zaczekaj.

Elżbieta odczekała pół godziny i ponowiła próbę. W dalszym ciągu nikt nie podchodził do telefonu.

— Coś się chyba stało. Może zaśląbła? Muszę jechać.

— Pewnie po prostu aparat jest uszkodzony. Zadzwoni do biura naprawy.

Poinformowano ją, że zgłoszony aparat jest w najlepszym porządku. Na linii nie ma żadnego uszkodzenia.

— Muszę jechać — powtórzyła Elżbieta i zaczęła się ubierać.

Jurek westchnął i niechętnym ruchem sięgnął po spodnie. Nie mógł jej przecież samej wypuścić w nocy na miasto. „Szmerglowa” teściowa zaczynała go już nużyć.

Taksówką pojechali na Malczewskiego. Jurek z bólem serca zapłacił za nocny kurs.

Dłuższy czas bezskutecznie dobijali się do mieszkania matki. Dzwonili, stukali, walili. Obudzili najbliższych sąsiadów. Ten i ów wyjrzał przez uchylone drzwi, klnąc szpetnie i grożąc wezwaniem milicji.

— Co robić? — spytała Elżbieta ze łzami w oczach.

— Trzeba wyłamać zamki.

— Ale jak? Nie mamy narzędzi. Jurek pomyślał chwilę,

— Zaczekaj tu na mnie. Skoczę do telefonu i zadzwonię do Stefana. Musi nam pomóc.

— Będiesz go budził o tej porze?

— Trudno. Wyłamanie zamków powinno się odbyć w obecności milicji. Wolę, żeby tu był Stefan aniżeli jakiś inny, nieznajomy facet.

Downar już spał.

— Przepraszam cię, Stefan, że tak późno dzwonię, ale mam kłopoty z teściową — usprawiedliwiał się Jurek.

— A kto nie ma kłopotów z teściową? — mruknął zaspany Downar. — O co ci właściwie chodzi?

Jurek wyjaśnił, co się stało i w jakiej znaleźli się sytuacji.

— Raz jeszcze bardzo cię przepraszam, ale nie wiem, co dalej robić.

— Zadzwoń do pogotowia — powiedział przytomniejszym głosem Downar. — Ja złapię jakiś radiowóz i zaraz do was przyjeżdżam.

Nadjechali prawie równocześnie z pogotowiem ratunkowym. Milicjanci szybko wyłamali zamki.

Pani Wanda siedziała nieruchomo w głębokim wolterowskim fotelu. W szeroko otwartych oczach zastygło przerażenie. Dolna szczęka opadła, odsłaniając złote i srebrne zęby. Na małym stoliczku stała butelka z jakimś lekarstwem i kieliszek.

— Nie żyje — stwierdził lekarz pogotowia.

Elżbieta wybuchnęła płaczem i przypadła do nóg matki.

Jurek machinalnie sięgnął po kieliszek z resztkami lekarstwa.

Downar powstrzymał go energicznie.

— Nie ruszaj tego!

ROZDZIAŁ II

Właściwie nie wiadomo, dlaczego Downar od razu wyczuł, że coś tu nie jest w porządku. Może zadziałała wieloletnia rutyna milicyjna, a może tak zwany siódmy zmysł. Na pozór wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Zgon nastąpił w wyniku ataku serca. Lekarz pogotowia nie miał żadnych wątpliwości. A jednak...

Krótką rozmowa z Elżbietą utwierdziła Downara w przekonaniu, że jego intuicja i tym razem go nie zawodzi.

— Mamusia zupełnie dobrze się czuła — mówiła Elżbieta, ocierając zapłakane oczy. — Jeszcze dzisiaj byliśmy razem w kinie. Na nic się nic skarżyła. Mówiła, że nie tak dawno była u swojego zaprzyjaźnionego lekarza. Powiedział, że z sercem znaczna poprawa, że elektrokardiogram zupełnie dobry, że ogólny stan dobry, tylko z nerwami nie w porządku. Ale nerwy to przez tego ducha.

— Przez jakiego ducha? — zdumiał się Downar.

— Dajże spokój, Elżuniu — wtrącił się Jurek. — Nie opowiadaj tych bredni.

Nikogo to nie interesuje. Zwłaszcza teraz...

Downar jednak był innego zdania. Oświadczył, że go to bardzo interesuje i że chciałby posłyszeć historię o duchach.

Elżbieta dosyć chaotycznie opowiedziała o halucynacjach matki. Trochę trudno było z jej słów zorientować się, o co chodzi, ale Downar na razie nie chciał zadawać zbyt wielu pytań. Zadzwoił do komendy i poprosił, żeby przysłali techników dochodzeniowych. Poleciał wykonać szereg zdjęć sytuacyjnych, zebrać możliwie jak najdokładniejszy materiał daktyloskopijny, zabezpieczyć butelkę z lekarstwem oraz kieliszek z resztką płynu.

Zwłoki zabrano, zamki doprowadzono do porządku, zamknięto i opieczętowano mieszkanie.

— Czy będą robili... sekcję? — spytała cicho Elżbieta, kiedy znaleźli się na ulicy.

— Obawiam się, że to konieczne — odparł Downar, a zwracając się do Jurka powiedział: — Chciałbym, żebyś wpadł do mnie do komendy.

— Kiedy? Teraz?

— Nie. Teraz idźcie się przespać. Wpadnij do mnie około południa.

— Dobra. Rano zajrzę do redakcji, a potem jestem do twojej dyspozycji.

Radiowóz podwiózł ich na Wilczą. Weszli do mieszkania w ponurym nastroju. Elżbieta usiadła na tapczanie i zaczęła pochlipywać. Jurek bezmyślnie kręcił się po pokoju, dotykając niepotrzebnie różnych przedmiotów. W gruncie rzeczy był bardzo wrażliwy i tylko lubił się zgrywać na człowieka bez nerwów. Jak to się często zdarza, on sam różnił się diametralnie od typu mężczyzny, który był jego ideałem.

— Może napiłabyś się koniaku? — zaproponował, żeby przerwać to nieznośne milczenie.

Skinęła głową.

— Jak masz, to daj.

Poszedł do szafy z ubraniami. Spomiędzy starych kapci wygrzebał pół butelki armeńskiego koniaku, który chował na czarną godzinę. Obecną sytuację można było potraktować jako ową czarną godzinę. Przyniósł z kuchni kieliszki i nalał.

— Wypij. To ci dobrze zrobi.

— Biedna mama — westchnęła Elżbieta i wypila koniak.

Całą noc spędzili bezsennie. Elżbieta ciągle popłakiwała. Jurek usiłował się zdrzemnąć, ale mu to zupełnie nie wychodziło. Wreszcie zrezygnował. Poszedł do łazienki i zaczął się golić.

Za piętnaście dziewiąta już był w redakcji. Koledzy zdumieni się.

— Cóż to? Cierpisz na bezsenność?

Dowiedziawszy się, że teściowa rozstała się z tym światem, chcieli mu złożyć gratulacje, ale posępny wyraz twarzy Jurka ostudził ich zapały.

W redakcji nie siedział długo. Porozmawiał z naczelnym. Obiecał przygotować materiał na piątek i wyszedł, nie zwracając tym razem uwagi na powłóczyście spojrzenia panny Stefy.

Postanowił trochę się przejść, odetchnąć świeżym powietrzem. Pojechał do Saskiego Ogrodu. Usiadł w słońcu na ławce.

Czego chce ode mnie Stefan? — zastanawiał się. — Przecież wszystko jest jasne. Staruszka wykorkowała na serce i nie ma o czym mówić.

Było ciepło i cicho. Myśli zaczęły krążyć coraz leniwiej, coraz bardziej bezładnie. Całe ciało ogarniał z wolna rozkoszny bezwład. Powieki stały się dziwnie ciężkie. Nic sposób było utrzymać otwartych oczu.

Zbudził go płacz dziecka. Poderwał się i spojrzał na zegarek. Dochodziła dwunasta.

Zdyszany wpadł do komendy. Downar przyjął go natychmiast.

— Co tak ziajesz?

— Nie chciałem się spóźnić. Prosiłeś, żebym był o dwunastej.

— Siadaj — Downar wskazał krzesło. — Napijesz się kawy?

— Jeżeli dasz, to z rozkoszą.

Dymiący dzbanek stał na bocznym stoliku. Downar napełnił filiżanki i posunął po blacie biurka cukiernicę.

— Wiesz co, Jureczku? Muszę cię zmartwić.

— Co się stało?

— Z twoją teściową sprawa nie jest taka prosta.

— Bo co?

— Otrucie.

— Niemożliwe!

— Niestety, tak — Downar zamieszał cukier w filiżance. — Otrzymałem przed twoim przyjściem wyniki analizy. Wiesz, co było w kieliszku i w tej butelce?

— Cyjanek potasu?

— Nie. Skądże. Sprawa jest bardziej skomplikowana. Analiza wykazała digitalis, czyli tak zwaną naparstnicę, oraz strofantynę.

— O ile się orientuję, to są leki na serce.

Downar skinął głową.

— Tak. Dobrze się orientujesz. Obydwa te leki stosowane są przy schorzeniach serca, z pewnym jednak zastrzeżeniem. Jeżeli digitalis połączysz ze strofantyną, to następuje prawie natychmiastowa śmierć, czyli, jak to się mówi w języku fachowym, zejście. Blokada serca.

Jurek nerwowym ruchem przeczesał palcami czuprynę.

— A więc...?

— Więc mamy przed sobą trzy ewentualności: albo jakaś fatalna pomyłka, albo samobójstwo, albo morderstwo.

— Samobójstwo wykluczone! — zawołał Jurek.

— Tak sądzisz?

— Jestem głęboko przekonany, że tę ewentualność można z czystym sumieniem odrzucić. Matka Elżuni nie była typem samobójczyni. Pełna życia, energii.

Żywotności mogłaby jej pozazdrościć niejedna młoda dziewczyna. Jeździła, podróżowała, szmuglowała. Cztery razy wychodziła za mąż. Co prawda, ostatnio dostała fioła na punkcie ducha swojego czwartego męża, ale nie było w tym nic z samobójczych nastrojów. Wykluczone.

— Powiadasz, że szmuglowała?

— Jeszcze jak! Teraz, kiedy już nie żyje, mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że robiła to bardzo zgrabnie. Jeździła na szmugiel do Bułgarii, na Węgry, do Czechosłowacji, a ostatnio była w Turcji. Podobno tam złoto bardzo tanie.

— To teściowa musiała być osobą zamożną.

— Myślę, że tak. O ile się orientuję, miała sporo waluty, złota, książeczki samochodowe i takie na większy procent.

— Gdzież to wszystko trzymała?

- Nie wiem. Chyba w swoim mieszkaniu.
- Trzeba będzie sprawdzić — powiedział cicho, jakby do siebie, Downar. — Więc stanowczo uważasz, że to nie było samobójstwo?
- Stanowczo.
- A czy mógłbyś mi coś powiedzieć na temat tego tajemniczego ducha? Jurek niechętnie wzruszył ramionami.
- No cóż... Popadła w jakieś stany maniakalne. Jeśli chodzi o kontakty z nieboszczykami, matka Elżbiety miała silnego fioła.
- . — Od dawna?
- Chyba od bardzo dawna. Zawsze przejawiała ciągoty w kierunku latających stolików, wirujących talerzyków. Wróżyła, stawiała kabałę, lała wosk na wodę, coś tam kombinowała z fusami. Podobno uważano ją za dobre medium.
- Kim właściwie była z zawodu? Czy w młodości nie pracowała?
- Była śpiewaczką w operetce. Nie żadna sława, ale mówiono, że głos ładny.
- Pod jakim występowała nazwiskiem?
- Wanda Mielecka. To jej nazwisko panieńskie. Obecnie używała, nie wiadomo zresztą dlaczego, nazwiska swojego pierwszego męża, który nazywał się Wołczewski. Wanda Wołczewska.
- A ten mąż, który pojawiał się w charakterze ducha?
- Michał Sztyroń. Umarł niedawno na raka płuc.
- I to właśnie on przybywał z tamtego świata w odwiedzinach.
- No cóż... Szmergiel. Skleroza. Downar zamyślił się. Po chwili spytał:
- Ten duch pokazywał się podczas seansu spirytystycznego czy też tak bez żadnych zabiegów?
- Bez niczego. Ostatnio teściowa widziała go wczoraj wieczorem. Telefono-
wała do Elżbiety.
- Bała się?
- Bo ja wiem... Chyba niespecjalnie. Uwielbiała tego rodzaju sensacje. Trochę się oczywiście i bała, ale jednocześnie jakoś ją to pociągało.
- I nikt inny nie widział owego ducha?
- Niby w jaki sposób? Przecież to był wytwór chorej wyobraźni.
- Czasami zdarzają się takie zbiorowe psychozy — uśmiechnął się Downar. — Jak się zbierze parę starych histeryczek, nigdy nie wiadomo, co mogą zobaczyć. A jak sobie jeszcze trochę wypiją, to ho, ho. Słuchaj, Jureczku, miałbym do was prośbę.
- Mów śmiało.
- Widzisz... Chodzi o to, że w tej sytuacji chciałbym przeszukać mieszkanie twojej teściowej. Wczoraj nie było na to czasu. Bardzo by mi dogadzało, gdybyście oboje byli obecni przy tej operacji. Czy uważasz, że dziś już można o to prosić twoją żonę?
- Chyba tak. Jest dosyć roztrzęsiona, ale myślę, że pojedzie.
- To dobrze. Wolałbym to zrobić jak najprędzej. Odpowiada ci dzisiejsze po-
południe?

— Tak.

— Zadzwoń jeszcze do was, a ty się porozum z żoną. I jeszcze jedna sprawa. Czy wiesz, u kogo leczyła się teściowa?

— U doktora Buczyńskiego. To kardiolog, który obecnie rozszerzył trochę swoją działalność i jest teraz także internistą. Podobno bardzo zdolny lekarz.

— I cóż on mówił na temat owego ducha?

— Nie wiem. Nie orientuję się, czy teściowa w ogóle rozmawiała z nim o tej sprawie. Może Elżbieta będzie coś wiedziała. Chcesz się zobaczyć z tym lekarzem?

— Byłoby to wskazane.

Doktor Buczyński był trochę zaskoczony wizytą oficera milicji. Zaprowadził Downara do pokoju lekarzy, gdzie akurat w tym momencie nie było nikogo.

— Proszę, niech pan siada, panie majorze. Czym mogę służyć?

— Słyszałem, że pani Wanda Wołczewska była pańską pacjentką.

— Jak to „była”? Co się stało?

— Zmarła wczoraj wieczorem.

Na twarzy lekarza pojawił się wyraz szczerzego zdumienia.

— Zmarła? Nieprawdopodobne. Przecież... przecież badałem ją parę dni temu. Była w zupełnie dobrej formie. Nie rozumiem. Serce? Downar skinął głową.

— Tak. Serce. Ale niech się pan nie przejmuje, panie doktorze. Pańska diagnoza co do stanu zdrowia pani Wołczewskiej była zupełnie prawidłowa. To było otrucie. Blokada serca. Zażyła digitalis razem ze strofantyną.

— Jezus Maria! Ależ to daje piorunujący efekt. Samobójstwo?

— Nic wiem, panie doktorze. Samobójstwo albo jakaś fatalna pomyłka. Co pan ostatnio zapisał pani Wołczewskiej?

— O ile dobrze pamiętam, to właśnie digitalis. Ale na pewno nie zapisywałem jej strofantyny. Mogę przysięgać.

— A czy strofantynę można kupić bez recepty? — spytał Downar.

— Wykluczone. To lek bardzo silnie działający.

— Czy pan sądzi, panie doktorze, że pani Wołczewska radziła się jeszcze jakiegoś innego lekarza?

Buczyński potrząsnął głową.

— Nie wydaje mi się. Nie mogę mieć oczywiście stuprocentowej pewności, ale od wielu lat była pod moją opieką i wiem, że cieszyłem się jej całkowitym zaufaniem. Jestem doprawdy wstrząśnięty tym, co się stało.

— Jeszcze jedno pytanie, panie doktorze. Czy pani Wołczewska wspominała panu kiedyś o jakichś zjawach, które przychodzą do niej z tamtego świata?

— Nie. Kiedyś, bardzo dawno temu rozmawialiśmy zdaje się na temat spirytyzmu, ale ja właściwie nic interesuję się tymi zagadnieniami. Mam zbyt dużo konkretnych, realnych spraw na głowie.

— Czy pana zdaniem Wołczewska była typem samobójczyni?

— Absolutnie nie. Pełna temperamentu, niesłuchanie jak na swój wiek żywotna. Zawsze miała bardzo wiele planów na przyszłość. Była oczywiście trochę zdziwaczała, jak to się często zdarza u starzejących się aktorek, ale o tendencjach samobójczych nie ma mowy. Ja osobiście absolutnie wykluczyłbym taką ewentualność.

— Więc...

Doktor Buczyński uważnie przyjrzał się swemu rozmówcy.

— Podejrzewa pan zbrodnię, panie majorze?

— Nie wiem.

Parę minut po czwartej milicyjna Wołga zatrzymała się na ulicy Malczewskiego. Downar wyskoczył pierwszy i pomógł wysiąść Elżbiecie. Za nią wygramolił się Jurek. Towarzyszył im porucznik Olszewski, który siedział koło kierowcy.

— Zaczekać, towarzyszu majorze? — spytał Sikora.

— Zaczekajcie. Albo nie. Wracajcie do komendy. To może dłużej potrwać.

Damy sobie jakoś radę.

Weszli na trzecie piętro. Downar uważnie sprawdził pieczęcie na drzwiach. W porządku.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu matki, Elżbieta zaczęła płakać. Downar był speszony. Dotknął ramienia Jurka.

— Może lepiej odwieziesz żonę do domu i potem wrócisz?

— Nie, nie — zaoponowała energicznie Elżbieta. — Zostanę z wami. Już mi przeszło.

Zabrali się do szczegółowego przeszukiwania mieszkania, które dość dawno nie było sprzątane. Downarowi to było na rękę, ale Elżbieta mimo woli czuła trochę pretensji do mamy.

Tyle razy ją prosiłam, żeby wzięła jakąś sprzątaczkę — pomyślała. Było jej nieprzyjemnie, że obcy ludzie widzą taki bałagan i brud.

Pracowali w pocie czoła. Przeszukali szafy, półki, szuflady, walizki, antresole, zaglądali za kaloryfery.

— Czego ty właściwie szukasz? — spytał cicho Jurek.

— Skarbów — odparł poważnie Downar.

— Nie żartuj.

— Wcale nie żartuję. Przecież sam mi mówiłeś, że twoja teściowa posiadała większe ilości obcej waluty, wyroby złote, może nawet i szlachetne kamienie. A w mieszkaniu nie ma nic z tych rzeczy.

— Podejrzewasz rabunek?

— Nie możemy chyba wykluczyć takiej ewentualności. Czy mówiłeś już żonie o...?,

— Tak. Wie o wyniku analizy.

— Dobrze. To nam ułatwia sytuację. — Downar podszedł do Elżbiety. — Czy mógłbym poprosić panią o chwilę rozmowy w cztery oczy?

Przeszli do sąsiedniego pokoju, w którym czuć było naftalinę zmieszaną z kroplami walerianowymi. Dawno tu nie wietrzono.

Downar otworzył okno, następnie usiadł na biedermeierowskiej kanapie i spojrzał na bladą, znużoną twarz Elżbiety.

— Bardzo mi przykro, że w takich chwilach nic daję pani spokoju, ale...

— Nie potrzebuje się pan tłumaczyć — przerwała mu z pewnym zniecierpliwieniem. — To przecież rozumiałe. Musi pan wyjaśnić tę okropną sprawę.

— To prawda. Muszę wyjaśnić sprawę — powtórzył. — Więc Jurek mówił już pani o lekarstwie...

— Tak. Zupełnie tego nie rozumiem. Mama, przy całym swoim roztargnieniu, była bardzo ostrożna, jeżeli chodzi o lekarstwa. A strofantyna i digitalis... Dla każdego, kto ma choćby minimalny kontakt z lekami nasercowymi, nie ulega wątpliwości, że to jest zabójcza mieszanka.

— Pani wie o tym?

— Oczywiście. Przecież kończyłam stomatologię. Jakies pojęcie mam o tych rzeczach.

— I sądzi pani, że mama mogła się orientować, jakie skutki wywołuje tego rodzaju połączenie lekarstw.

— Tego nie wiem... Chociaż... Zaraz... zaraz. Coś sobie przypominam. Chwileczkę. Ależ lak! Rozmawialiśmy na ten temat. To znaczy...

— Kto rozmawiał? Niech pani sobie przypomni — nalegał Downar.

— To było dosyć dawno. Parę miesięcy temu. Jeszcze chyba w zimie. Mama zaprosiła znajomych i wtedy... Tak. Teraz już sobie dokładnie przypominam. Taki dawny adorator mamy, farmaceuta, opowiadał, jak w czasie okupacji wykańczali gestapowców i konfidentów za pomocą takiej właśnie mieszanki. Niemiec umierał na serce i nikogo za to nie prześladowano. Nie było w związku z tym żadnych egzekucji.

— Jak się nazywa ten farmaceuta?

— Pan Michalski. Antoni Michalski.

— Zna pani jego adres?

— Nie znam. ale chyba musi gdzieś być w notatkach mamy.

— Czy to przyjęcie, o którym pani wspomniała, odbyło się przed śmiercią męża mamy, czy też po jego śmierci?

— Michał jeszcze wtedy żył. Umarł niedawno. W zeszłym miesiącu. To poszło bardzo szybko. Nikt się nie spodziewał.

— Czy pani sobie przypomina, kto był obecny na tamtym przyjęciu?

— Mama zaprosiła wtedy sporo osób. Dokładnie nie pamiętam. Takie różne jej dawne przyjaciółki, no, właśnie pan Michalski, chyba Lucyna...

— Kto to jest Lucyna?

— Córka Michała z pierwszego małżeństwa. Tak. Teraz sobie przypominam, że była. Razem z mężem. Przyszła także Krajnowska.

— Jakaś kuzynka?

— Nic. Żadna rodzina. Przyjaciółka mojej mamy. Była nawet u mnie parę dni temu.

— Miała konkretny interes? Przepraszam, że tak panią o wszystko wypytuję, ale muszę się trochę zorientować w środowisku...

— Rozumiem. Pani Krajnowska przyszła do mnie w sprawie mamy. Była zaniepokojona tymi jej przywidzeniami. Radziła, żebym zaprowadziła mamę do jakiegoś lekarza specjalisty, do psychiatry.

— Hm... — Downar uważnie przyjrzał się Elżbiecie. — A pani...?

— Mówiłam na ten temat z mamą, ale nie mogłam tak bardzo nastawać. Pan rozumie?

— Oczywiście. Dosyć niezręczna sytuacja. Proszę mi powiedzieć, pani Elżbieto, ale tak zupełnie szczerze, czy mama pani była osobą zamożną?

— Chyba tak. Myślę nawet, że była bardzo bogata, chociaż nie zwierzała mi się z tych spraw, a ja się nie dopytywałam. Mama miała zdolności do interesów.

— Wspominał mi Jurek, że dużo podróżowała i zajmowała się handlem.

— Mama dość często wyjeżdżała za granicę.

— Podobno ostatnio była w Turcji.

— Tak.

— I przywiozła sporo złota, złotych wyrobów.

— Mówiła mi o tym, ale złoto ..wolno przywieźć, trzeba tylko opłacić jakieś stosunkowo niewielkie cło. Mama je z pewnością zapłaciła.

— Sprawy celne w ogóle mnie nie interesują — uśmiechnął się Downar. — Czy podróż do Turcji odbyła przed śmiercią męża?

— Tak.

— Czy pani sądzi, że owe przywiezione złote wyroby mama mogła już sprzedać?

— Chyba nie. Mówiła mi, że tego nie chce sprzedawać, że to złoto traktuje jako swoje zabezpieczenie.

— Miała także i dolary jako zabezpieczenie.

— Miała.

— Dużo?

— Dokładnie nie wiem. Chyba dosyć dużo.

— Wobec tego, czym to sobie pani tłumaczy, że nie znaleźliśmy w mieszkaniu mamy ani złota, ani dolarów, ani w ogóle niczego cenniejszego?

Elżbieta wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia.

— Pani nie dawała mama nic na przechowanie?

— Nie. Jakoś... Nie, nic mi nie dawała na przechowanie.

— A jak układały się stosunki pomiędzy matką pani a Jurkiem?

— Średnio. Nienadzwyczajnie.

— Czy mama pani podróżowała zawsze samotnic, czy też w towarzystwie?

— Różnie. Czasem jeździła sama, a czasem z panią Krajnowską, z Lucyną, ze Stefą.

— Kto to jest Stefa?

— Siostrzenica Michała.

— Czy pan Sztyroń miał z pierwszego małżeństwa jeszcze jakieś dzieci oprócz tej Lucyny?

— Miał syna, ale on od dawna mieszka gdzieś za granicą, zdaje się, że w Argentynie czy w Urugwaju. Dobrze nie wiem. Nigdy się tym nie interesowałam.

— Wspomniała pani, że wtedy na przyjęciu była obecna Lucyna ze swoim mężem.

— Tak.

— Orientuje się pani, czym się zajmuje mąż Lucyny?

— Jest lekarzem.

— Czy istnieje możliwość, że mama zasięgała jego porady?

Elżbieta energicznie potrząsnęła głową.

— To wykluczone. Uważała go za kompletnego ignoranta, jeśli chodzi o medycynę. W ogóle miała o nim bardzo kiepskie wyobrażenie,

Downar wstał i przeszedł się po pokoju.

— Wróćmy jeszcze do sprawy złota i dolarów. Czy pani nie wie o jakichś schowkach w tym mieszkaniu?

— Nie.

— Może tajemnicza skrytka za którymś z obrazów? Nie mówię oczywiście o tym ogromnym płótnie w drugim pokoju. Mama by go nie ruszyła z miejsca. Same ramy ważą chyba przeszło dziesięć kilo.

— Ten obraz był jeszcze własnością mojego dziadka. Dziwnym trafem ocalał. W czasie okupacji dziadkowie nie mieszkali w Warszawie.

Downar miał zamiar skończyć już rozmowę, ale jeszcze spytał:

— Po śmierci pana Sztyronia prawdopodobnie załatwiono jakoś sprawy spadkowe.

Elżbieta skrzywiła się niechętnie.

— Chyba to jeszcze nie zostało zakończone. Wiem, że mama miała pewne kłopoty z rodziną Michała.

— Wyobrażam sobie — mruknął do siebie Downar. Spojrzał na Elżbietę i zrobiło mu się jej żal. — Wymęczyłem panią — powiedział ze skruchą. — Przepraszam. Wrócili do dużego pokoju. Właśnie Jurek i Olszewski wieszali na ścianie ów wielki obraz.

— Zagląaliśmy wszędzie, zbadaliśmy też posadzkę — powiedział porucznik. — Ani śladu żadnej skrytki.

Downar wskazał na wpół uchylone drzwi!

— Jeszcze tamten pokój.

Na zakończenie przeszukali łazienkę, kuchnię, przedpokój, raz jeszcze zajrzeli do szaf i szuflad. Bez rezultatu.

Odwieźli Jurka i Elżbietę na Wilczą i wrócili do komendy. Downar włączył elektryczny czajnik i wyjął z biurka paczkę „Madrasu”.

— No, co o tym sądzisz? — spytał, szukając w szufladzie słoika z cukrem.

— Identycznie to samo, co i ty — uśmiechnął się Olszewski.

— To znaczy, że ktoś jednak załatwił starszą panią.

Olszewski pokiwał głową.

— Co do tego chyba jesteśmy zgodni. Teraz tylko należy odpowiedzieć na pytanie: kto?

— Mam nadzieję, że ci to . nie . sprawi specjalnej trudności — zauważył poważnie Downar.

— Obawiam się, że sprawi — odparował z równą powagą Olszewski. — Wiesz, co by nas urządziło? Żebyśmy mogli zdobyć wszystkie recepty na strofantynę, -jakie w ostatnich czasach zostały zrealizowane.

— Ba — Downar wziął dwie szklanki z okna i postawił je na biurku. — Musielibyśmy chyba zaangażować do tego pułk piechoty, a i to nie na wiele by się zdało. Nie możemy mieć pewności, czy recepta została zrealizowana w Warszawie.

ROZDZIAŁ III

Nazajutrz Downar zadzwonił do Jurka i poprosił go o rozmowę. Spotkali się na neutralnym gruncie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy. Wypili po jednej wódce, zakąsili śledziem w śmietanie, potem coś gorącego, piwko. Przez cały czas gawędzili na obojętne tematy. Dopiero przy czarnej kawie Jurek powiedział:

— Czy ściągnąłeś mnie tutaj wyłącznie po to, żeby dyskutować na tematy meteorologiczne?

Downar uśmiechnął się.

— Niezupełnie. Chciałem się od ciebie dowiedzieć jeszcze czegoś o „świętej pamięci” Michale Szyroniu.

— Interesuje cię mąż mojej teściowej? Sądzisz, że to on, w charakterze upiora, przyrządził tę morderczą mieszankę?

— Tak daleko nie sięga mój talent śledczy — odparł Downar. Skinął na kelnera i kazał podać dwa koniaki radzieckie.

Jurek spojrzał na niego zdziwiony.

— O, widzę, że usiłujesz mnie przekupić. No, trudno... Pytaj.

— Może byś mi w krótkich słowach scharakteryzował tego człowieka?

— Świnia.

— Hm. Charakterystyka rzeczowa, ale nieco lakoniczna. Czy mógłbyś trochę szerzej potraktować temat?

Jurek umoczył wargi w koniaku i odchrząknął.

— Wprawdzie nie powinno się źle mówić o nieboszczykach, ale skoro nalegasz... To był facet, który żył z kobiet.

— Sutener?

— No, nie. Nie przesadzajmy. Czarował, zresztą w sposób dosyć prymitywny, głupie bogate baby, które ulegały romantycznym nastrojom i łożyły na jego utrzymanie. Moja świętej pamięci teściowa nigdy nie grzeszyła nadmiarem inteligencji. Bez trudu poddała się urokowi tego prowincjonalnego Don Juana. Miłosne westchnienia, wymowne spojrzenia, deklamacje, liryki, . „Stepy

Akermańskie". Wszystko to zrobiło duże wrażenie na starszej pani. Została podbita i zdobyta.

— A facet zdobył grubszą forszę. Jurek energicznie potrząsnął głową.

— Właśnie tutaj się naciął, fatalnie się naciął. Teściowa była bardzo chętna do miłosnych wzlotów, ale jeżeli chodzi o forszę, to nie ma mowy. Z chwilą kiedy w grę wchodziły dobra materialne, kończył się romantyzm. Trafiła przysłowiowa kosa na kamień. Nie ulega wątpliwości, że Michałko zupełnie inaczej wyobrażał sobie to małżeństwo.

— Czy on miał jakiś konkretny zawód? — spytał Downar.

— Podobno skończył medycynę, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek praktykował jako lekarz. Zresztą nie znam takiego, kto by widział jego dyplom.

— A co robił po całych dniach? Czym się zajmował?

— Bardzo lubił pograć sobie w coś prędkiego, najchętniej w pokera.

— Skąd brał na to pieniądze?

— Nie interesowałem się specjalnie. Coś tam widocznie kombinował. Teściowa dawała mu jeść, ale nic poza tym.

— I nastąpił rozkład małżeństwa.

— Całkowicie. Zaczęli się nienawidzić. Doszło nawet do tego, że teściowa marzyła o tym, żeby się go jakoś pozbyć z mieszkania.

— I zapewne nie rozpaczła zbyt po śmierci małżonka?

— Przypuszczam, że była zachwycona. Ten człowiek zatruwał jej życie. Miała chyba potem wyrzuty sumienia, które doprowadziły do tego, że zaczął jej się pokazywać duch Michałka. Zwariowana historia.

— Ale kiedy jeszcze żył, musiała się przecież poważnie liczyć z tym, że któregoś pięknego poranka mężulek podgrandzi jej złoto, walutę, brylanty i odejdzie w siną dal.

— Oczywiście — przytaknął Jurek. — Musiała brać to pod uwagę.

— Chyba się jakoś zabezpieczyła.

— Nie wiem. Zupełnie się nie orientuję. Downar skończył pić koniak i zamyślił się. Po chwili spytał:

— - Czy nigdy nie proponowała wam, że u was zdeponuje choćby część swych bogactw?

— Nie. Przyznaję, że do mnie także nie miała zbyt dużego zaufania. Nie przepadalibyśmy za sobą.

— Ale do córki...

— Elżbiecie nigdy tego nie proponowała.

— Ciekawe, co zrobiła z tymi swoimi skarbami? — zastanawiał się głośno Downar. — Było tego sporo. Musiała je gdzieś ulokować. Chyba że...

— Chyba że ktoś ją okradł — odpowiedział Jurek.

— Właśnie. Okradł i, żeby nie narażać się na nieprzyjemne rozmowy, podsunął starszej pani kropelki.

— Może raczej spreparował sam mieszankę.

— Idąc po, linii tego rozumowaniu — mówił dalej Downar — musimy założyć, że to był ktoś, kogo twoja teściowa dobrze знаła. Ty byś mi tu pasował znakomicie.

— A wiesz, że to jest pierwszorzędny pomysł — zapalił się Jurek. — W powieści kryminalnej to byłaby dopiero wolta! Żaden z czytelników nie podejrzewałby mnie.

— Niby dlaczego nie? — uśmiechnął się Downar. — Ale wracajmy do rzeczy. Powiedz mi tak zupełnie szczerze, czy ty kogoś podejrzewasz o tę zbrodnię?

— No wiesz, dobry jesteś. Nie mogę na nikogo rzucać nie uzasadnionych podejrzeń. To za duża odpowiedzialność.

Downar poklepał przyjaciela po ramieniu.

— Dajże spokój. Nie żądam od ciebie, żebyś na kogoś rzucał podejrzenie czy kogoś oskarżał. Po prostu chciałbym, żebyś mi wytypował osoby, które ewentualnie mogłyby wchodzić w grę w wypadku, gdybyś na przykład pisał powieść kryminalną na ten temat. Zresztą cała nasza rozmowa ma charakter najzupełniej prywatny i wszystko, co mówimy, w żadnym stopniu nie jest obowiązujące. Ja przecież nie znam zupełnie tego środowiska, a ty je znasz i dlatego...

Jurek skrzywił się.

— No cóż... Jeżeli stawiasz sprawę na płaszczyźnie literackiej, to ja bym szukał mordercy wśród rodziny Michała. To niezbyt ciekawi ludzie. Zastrzegam się,, oczywiście, że nic konkretnego nie wiem.

— Coś ty się zrobił nagle taki szalenie ostrożny? — roześmiał się Downar.

Downar coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że morderczą miksturę spreparował ktoś „zaprzyjaźniony” z Wołczewską albo ktoś z rodziny. Sugestie Jurka zachęciły go do poznania bliżej tego środowiska. Zaczął od pani Lucyny. Zdziwiły ją trochę jego odwiedziny, ale była bardzo uprzejma, gościnna. Podała herbatę w efektownych filiżankach, ułożyła na srebrnej paterze ciasto, wyjęła z baru koniak. Krzątała się żwawo, uśmiechając się do swego gościa.

— Mój mąż zaraz przyjdzie — powiedziała.

Downar z zainteresowaniem obserwował postawną, dobrze zbudowaną blondynkę, która miała w sobie dużo dość trywialnego seksu. To była kobieta mogąca się bardzo podobać mężczyznom. On jednak wolał mniej agresywny typ urody.

— Może zaczekamy z herbatą na męża? — zaproponował.

— Nie, nie. Proszę bardzo. Niech pan słodzi, niech się pan częstuje. Bywa, że Ryszard przychodzi trochę później. Obiecywał wprawdzie, ale... Z nim nigdy nic nie wiadomo.

Od pierwszej chwili wyczuwał w niej niepokój. Od czasu do czasu rzucała w jego stronę szybkie, pytające spojrzenia. Mogła ją oczywiście peszyć wizyta oficera milicji albo też był jakiś inny, poważniejszy powód tego niepokoju. Specjalnie nie spieszył się z wyłuszczeniem celu swojego przyjscia. Wolał, żeby jak najdłużej trwała w nerwowej niepewności. Wreszcie zdecydował, że należy przystąpić ad rem.

— Zapewne dziwi panią moja wizyta.

— Poniekąd. Przyznaję, że byłam nieco zaskoczona, kiedy pan do nas zatelefonował.

— Chciałbym z państwem porozmawiać na temat śmierci pani Wandy Wołczewskiej.

Pani Lucyna westchnęła.

— Biedna Wandeczka. Taka była zawsze pełna życia.

— Czy orientuje się pani. w jakich okolicznościach zmarła pani Wołczewska?

— Słyszałam, że się pomyliła i zażyła jakieś nieodpowiednie lekarstwo.

— Od kogo pani to słyszała?

— Chyba od pani Krajnowskiej. Już dobrze nie pamiętam.

Downar pokiwał głową.

— Tak. To rzeczywiście było bardzo „nieodpowiednie” lekarstwo. Pani Wołczewska została po prostu otruta.

— Otruta? Pan sądzi, że...?

— ...że ktoś zaprzagnął przyśpieszyć jej odejście na tamten świat — uzupełnił Downar.

— To straszne. Kto to mógł zrobić?

— Właśnie usiłuję to ustalić i lecę na pani pomoc.

— Na moją pomoc? Cóż ja...

— Pani jako córka męża pani Wołczewskiej...

— Ależ ja nic nie wiem. Nie mam pojęcia. Co pan sobie wyobraża?

— Wyobrażam sobie — powiedział spokojnie Downar — że pani zapewne lepiej jest zorientowana w środowisku pani Wołczewskiej aniżeli ja.

— Dlaczego pan się nie skontaktuje z jej córką? Ona chyba jest najlepiej zorientowana. W ogóle nic rozumiem, czego pan ode mnie chce!

— A ja znowu nie rozumiem, dlaczego się pani tak denerwuje.

— Ja się denerwuję? Nic podobnego.

— Takie odnoszę wrażenie.

Rozległ się trzask otwieranych drzwi.

— O, to pewnie mój mąż wrócił. On panu najlepiej wszystko wyjaśni.

Wszedł doktor Mielczak. Średniego wzrostu, krępy, o okrągłej, rumianej twarzy, z której łatwo było wyczytać zamiłowanie do smacznie przyrządzanego pożywienia.

Przywitał się z Downarem. uważnie wysłuchał, o co chodzi, i usiadł.

— O, widzę, że upiekłaś szarlotkę — powiedział z zadowoleniem, wskazując talerzyk Downara.

Pani Lucyna uśmiechnęła się do męża.

— Chcesz kawałek?

— Co za pytanie? A dlaczego tylko jeden kawałek? Twoje szarlotki są zawsze wyśmienite. Nałożyła mu potężną porcję.

— Żona dba o moją linię — powiedział pogodnie, spoglądając na gościa.

Downar pomyślał, że troska o linię nie daje pożądaných rezultatów. Nie podzielił się jednak swoimi refleksjami.

— Czy można wiedzieć, jaką specjalność pan reprezentuje, panie doktorze?

— Specjalizuję się w zagadnieniach związanych z racjonalnym żywieniem — odparł Mielczak, przełknąwszy ogromny kawał szarlotki. — Pracuję w Instytucie Higieny.

— Pan się zapewne orientuje, jakie efekty daje połączenie digitalisu ze strofantyną?

— Nie radzę. To bardzo ciężko strawna mieszanka.

— Taką mieszankę zażyła pani Wołczewska.

— O! Chyba jakieś fatalne nieporozumienie, jakaś pomyłka. Downar potrząsnął głową.

— Nie sędzę, żeby to była pomyłka. Wszystko wskazuje na to, że pani Wołczewska została zamordowana, otruta. Prowadzę dochodzenie w tej sprawie.

— Sądziłem, że pan przyszedł do nas na szarlotkę — roześmiał się doktor Mielczak. — A tu widzę, że wizyta urzędowa.

— Nie chciałem państwa fatygować do komendy i dlatego...

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie. O wiele przyjemniej gawędzi się przy herbatce z czymś słodkim. Lucynko, kochanie, dajże mi jeszcze kawałek tego wybornego ciasta. O, tak. Dziękuję. Więc pan przypuszcza, panie majorze, że ktoś podsunął tę fatalną mieszankę pani Wołczewskiej. I chciałby się pan czegoś od nas dowiedzieć.

— Właśnie.

— Tylko że my, niestety, niewiele informacji możemy panu udzielić, bo właściwie cóż... Jak by tu powiedzieć... Faktycznie to my nic nie wiemy na ten temat. Pyszna ta szarlotka.

— Czy pan wypisywał jakieś recepty pani Wołczewskiej? — spytał Downar.

— Niech Bóg broni. Nigdy żadnych recept jej nie wypisywałem. Miała swojego lekarza.

— Ale od czasu do czasu, sporadycznie mogło się zdarzyć.

Doktor Mielczak energicznym ruchem odsunął talerzyk z nie dojedzoną szarlotką.

— Ani sporadycznie, ani nie sporadycznie się nie zdarzało! Nie rozumiem, do czego pan zmierza?

— Pragnę się dowiedzieć, od kogo pani Wołczewska dostała receptę na strofantynę.

— Niecił się pan zapyta jej lekarza.

— Doktor Buczyński przepisał jej tylko digitalis i twierdzi z całą stanowczością, że strofantyny nie przepisywał.

— Różne rzeczy twierdzi się z całą stanowczością, panie majorze.

Downar spojrział z zainteresowaniem.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Nic, absolutnie nic. Po prostu wydaje mi się, że wszyscy ludzie są omylni, a i pamięć nie każdemu dopisuje.

Downar sięgnął po szklankę i wypił resztę herbaty, która już wystygła.

— Jaka jest pana opinia o świętej pamięci pani Wołczewskiej?

Mielczak nieznacznie wzruszył ramionami.

— Nie lubię mówić o zmarłych. A poza tym bardzo słabo znałem tę kobietę.

Wydaje mi się, że nie była całkiem normalna.

— Chodzi panu o te historie z duchami?

— Nie tylko o to. W ogóle była trochę dziwna,

— Co pan ma na myśli?

— Chorobliwe skąpstwo. Na tym tle przecież wynikały ciągłe awantury między nią a jej mężem, moim teściem.

— To ich małżeństwo źle się układało?

— Nie chciała tatusiowi dać ani złotówki — wtrąciła się Lucyna. — To była potwornie skąpa baba. Nigdy nikomu nic nie dała z tych swoich skarbów.

— Taka była zamożna?

— No, chyba. Waluta, złoto, brylanty. Na książeczkach PKO miała pewnie parę milionów.

— A skąd pani o tym wie? — spytał z niewinną miną Downar.

Zmieszła się.

— No, wiem... Kiedyś mi pokazywała... chwaliła się.

— Takie miało do pani zaufanie?

— Zaufania może nie miała, ale...

— Co ty opowiadasz, Lucynko? — wtrącił się Mielczak, któremu najwyraźniej nie spodobał się występ żony.

— A gdzież ona trzymała te wszystkie swoje skarby? — spytał prędko Downar. Lucyna spojrzała najpierw na męża. potem na szarlotkę.

— Nie wiem.

_ Downar nie nastawał. Postanowił zmienić temat rozmowy.

— Chciałbym jeszcze państwa o coś zapytać. To jest taka trochę delikatna sprawa, o której niezręcznie mi było mówić z córką pani Wołczewskiej. Chodzi mianowicie o to, czy pani' Wołczewska miała jakiegoś adoratora? To była oczywiście już starsza kobieta, ale podobno jeszcze dosyć atrakcyjna. A poza tym te dolary i to złoto także mogły być bardzo atrakcyjne nawet dla znacznie młodszego od niej mężczyzny.

Lucyna poruszyła się niespokojnie.

— Mów, mów, Lucynko — zachęcił ją Mielczak. — Panu majorowi trzeba wszystko szczerze powiedzieć. — Najwidoczniej chciał trochę zatuszować niekorzystne wrażenie, jakie zapewne zrobiły na przedstawicielu władzy jego poprzednie słowa.

— Jeżeli pani coś wie na ten temat, to proszę, słucham — uśmiechnął się

Downar.

— No, był taki chłopak... Przychodził do niej.

- W celach romantycznych?
- Tego nie mogę twierdzić z całą pewnością. Takich rzeczy nikt nie wie na pewno. Ona mówiła, że jej pomaga w sprawach 'handlowych.
- Czy pani widziała tego młodego człowieka?
- Tak. Kiedyś go u niej spotkałam. To znaczy... w przedpokoju. Wychodził, a ja akurat weszłam.
- Ojca pani wtedy nie było?
- Tatuś leżał w szpitalu.
- Czy pani wie, jak nazywa się ten młodzieniec?
- Nie mam pojęcia. Może Krajnowska go znała? Przyjaźniły się przecież.
- A czy pani Wołczewska rozmawiała z panią kiedyś na temat ducha pani ojca, który jakoby ukazywał się jej?
- Tak. Opowiadała mi. I tobie także o tym mówiła, kochanie.
- Mówiła — mruknął niechętnie Mielczak. — Ale ja się nic interesuję duchami.
- Czy podawała jakieś bliższe szczegóły dotyczące tej zjawy?
- Lucyna pokręciła głową.
- Chyba nic specjalnego. Bo ja wiem... Proponowała, żebym przyszła to zobaczyć, ale ja nie chciałam. Ja się boję...
- Czy wspominała może, w którym miejscu mieszkania ukazuje się ów duch?
- Tak. Opowiadała, że na tym fotelu, na którym tatuś lubił siedzieć.
- W dużym pokoju stoją dwa ogromne wolterowskie fotele. Zapewne pamiętają dawne czasy. Na którym zwykle siadywał ojciec pani?
- Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę. Tatuś siedział zawsze na fotelu, który stoi frontem do tego dużego, ciemnego obrazu. Odwracał się, oczywiście, kiedy oglądał telewizję.
- A pani Wołczewska siadywała tyłem do tego obrazu.
- Tak. Kiedy jeszcze zgodnie ze sobą żyli, właśnie tak siadywali w tych fotelach. Pili herbatę, gawędzili...
- Czy' nie będę nazbyt niedyskretny, jeżeli zapytam, dlaczego popsuło się ich małżeństwo?
- Lucyna wzruszyła ramionami.
- To nie była kobieta, z którą dałoby się zgodnie żyć. A zresztą nie warto o tym mówić.
- Doktor Mielczak ostentacyjnie spojrzął na zegarek.
- Czy możemy jeszcze służyć panu jakimiś informacjami, panie majorze?
- Jeszcze tylko chciałbym zapytać pana jako fachowca, czy strofantyna preparowana jest w kroplach, czy też w zastrzykach?
- To są dożylnie zastrzyki, ampułki.

Skończyli naradę i teraz siedzieli naprzeciwko siebie, markotni, osowiali. Cała dotychczasowa działalność nie posunęła sprawy ani o krok naprzód. Dreptali w miejscu.

Downar po raz setny przeglądał notatki i protokoły. Olszewski zaś, który znał już to wszystko na pamięć, zabrał się do czytania gazety.

Zadzwonił telefon.

Dyżurny meldował, że zgłosiła się obywatelka Helena Krajnowska. Downar ożywił się.

— Dawajcie ją tu.

Weszła drobnym, nieco afektowanym krokiem. Rozejrzała się ciekawie po policyjnym pokoju. Ubrana była z wyszukaną elegancją i roztaczała wokół siebie zapach silnych perfum.

— Proszę, niech pani siada.

Usiadła i wyjęła z torby kartkę papieru.

— Otrzymałam wezwanie i właśnie...

— Zaprosiliśmy panią do nas na rozmowę — powiedział uprzejmie Downar — ponieważ dowiedzieliśmy się, że była pani bliską przyjaciółką niedawno zmarłej Wandy Wołczewskiej.

Pani Krajnowska uśmiechnęła się do swego rozmówcy.

— To prawda, to szczerą prawdą. Trzeba panom wiedzieć, że my z Wandeczką przyjaźniłyśmy się od dawna, od bardzo dawna, prawie od dziecka. No... może niezupełnie od dziecka, ale byliśmy jeszcze obydwie młode, zupełnie młode. To dla mnie ogromny cios, ogromna strata. Biedna, kochana Wandeczka. Taka zawsze była miła, uczynna, wesoła. Mało jest teraz takich ludzi na świecie.

r~ Już nie mówię o młodzieży, z którą w ogóle nie można nawiązać żadnego kontaktu. Ale nawet ludzie starsi... Ożywiony monolog płynął nieprzerwanie wartkim potokiem. Zarówno Downar, jak i Olszewski zaczęli odczuwać nieomal narkotyczne odurzenie. Wreszcie Downar postanowił wydobyć się z tej lawiny słów.

— Przepraszam, że pani przerywam, ale chciałbym o coś zapytać. Jakie jest pani zdanie na temat śmierci pani Wołczewskiej?

Krajnowska wyjęła z torebki chusteczkę.

— Biedactwo... Załamała się psychicznie. Nie wytrzymała nerwowo.

— Czy chce pani przez to powiedzieć, że pani Wołczewska popełniła samobójstwo?

— No, chyba. Wszystko na to wskazuje, nieprawdaż?

— Jakie mogły być ewentualne motywy takiego desperackiego kroku?

— Po śmierci Michała, to znaczy męża, Wandeczka popadła w depresyjne nastroje. Poza tym ten duch...

— Więc pani Wołczewska i pani opowiadała o tej dziwnej zjawie?

— Ależ oczywiście. Wiele razy rozmawiałyśmy na ten temat. Staralam się ją uspokoić, ale — proszę mi wierzyć — to nie było łatwe. Obsesja. Pan rozumie. Myślę, że biedaczka miała trochę wyrzutów sumienia i może dlatego...

— Wyrzuty sumienia? Na jakim tle?

— Jak by tu panu powiedzieć...? Nie chciałabym... W ogóle nie lubię mówić o zmarłych... Bo to tak jakoś...

— Niech pani mówi śmiało — zachęcił ją Downar. — Nasza rozmowa nie wyjdzie poza ten pokój.

— Bo widzi pan... To nic było udane małżeństwo. Powiem więcej, to było bardzo nieudane małżeństwo. Z początku wydawało się, że jakoś im się ułoży, ale im dalej, tym sytuacja się pogarszała. No cóż... przed ślubem trudno przewidzieć. Ja sama miałam trzech mężów. Panie świeć nad ich duszami. I wiem, że małżeństwo to trudna rzecz. Żaden z moich mężów nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Ale o czym to ja mówiłam?

— O wyrzutach sumienia pani Wołczewskiej.

— Właśnie. Więc tak... Rzeczywiście mogły ją dręczyć pewne wyrzuty sumienia, bo prawdę mówiąc, śmierć biednego Michała przyniosła jej dużą ulgę.

Właściwie... nie mogła się doczekać. Bo żeby jej dał rozwód... Ale nie chciał. No cóż... zatruwał jej życie — to trzeba przyznać, ale... Być może dlatego później wydawało jej się, że widzi jego ducha. Rozmawiałam nawet z Elżunią na ten temat i mówiłam, że... że trzeba by matkę do jakiegoś specjalisty, do psychiatry...

— O ile się orientuję, pani Wolczewska stale leczyła się u doktora Buczyńskiego.

— Tak. Często skarżyła się na serce. Była nawet jakiś czas na obserwacji w szpitalu.

— Ale w notatniku pani Wołczewskiej znaleźliśmy także numer telefonu doktora Lucjana Kozielskiego. Czy pani zna tego lekarza?

Krajnowska sięgnęła do torebki i przez chwilę pracowicie pudrowała sobie nos.

— Oczywiście, że znam. Dobry gastrolog. A że od lat niedomagam na wątrobę, czasami chodzę do niego na kontrolę. Czyżby i pan major?... Jeżeli — to polecam. Solidny lekarz.

— Pani wie zapewne, że pani Wołczewska zmarła na skutek spożycia mieszanki pewnych leków? — spytał Downar, podchodząc do okna i uchylając je nieco. Do pokoju wtargnął natychmiast uliczny hałas.

— Coś wspominała mi Elżunia, ale dokładnie się nie orientuję.

— To była mieszanka skrofantyny z digitalisem.

Krajnowska złapała się za głowę.

— Jezus Maria!

— Co panią tak przeraziło?

Przez chwilę gwałtownie wachlowała się chusteczką. Potrząsała głową jak ktoś, kio nie może uwierzyć w posłyszaną właśnie nowinę.

— Niech pan sobie wyobrazi — powiedziała wreszcie cichym głosem — że któregoś dnia przyszła do mnie Wandeczka i prosiła, żebym jej się wystarała o receptę na strofantynę. Twierdziła, że doktor Buczyński wyjechał czy też zachorował, a ona potrzebuje koniecznie tego leku. Niczego nie podejrzewałam. Mój Boże! Poszłam do Kozielskiego i poprosiłam go o receptę.

Uważałam za swój obowiązek pomóc Wandzi w kłopotcie. Czyż mogłam przypuszczać... Nigdy sobie tego nic daruję...

— Zastanawiamy się z kolegą, skąd pani Wołczewska wiedziała, że pijąc skrofantynę w połączeniu z digitalisem można popełnić samobójstwo?

— Zaraz... Zaraz. A wie pan, że kiedyś rozmawialiśmy na ten temat z panem magistrem Michalskim. To taki stary znajomy Wandzi. Nieraz u niej bywał. Przypominam sobie, że to on opowiedział właśnie o takiej mieszance, która zabija.

— Czy nie dziwne, że w mieszkaniu pani Wołczewskiej nie znaleźliśmy opakowania po strofantynie ani nawet pustych ampulek?

Krajnowska rozłożyła ręce.

— Rzeczywiście dziwne. Nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć.

— Czy pani Wołczewska była osobą zamożną? —

— Raczej tak. Miała pewne oszczędności.

— Dolary, złoto — odpowiedział Downar.

— Zabezpieczała się na stare lata. Trudno się dziwić.

— Niech pani sobie wyobrazi, że ani złota, ani żadnej waluty, ani w ogóle nic wartościowego nie znaleźliśmy w mieszkaniu pani Wołczewskiej.

— Musiała gdzieś to pochować. Nieraz mi mówiła, że się boi, że jej mąż wszystko zabierze.

— Nie orientuje się pani, gdzie mogła schować te swoje „skarby”?

— Nie mam pojęcia. Kiedyś po powrocie z Rumunii przyniosła do mnie na przechowanie kilka drobiazgów, które już oddałam Elżuni. Ale co zrobiła z innymi rzeczami, tego nie wiem.

— Czy słyszała pani o tym, że Wanda Wołczewska była w kontakcie z pewnym młodym człowiekiem, który pomagał jej w transakcjach handlowych?

— Tak. Wiem, że miała jakiegoś pośrednika...

— Jak się on nazywa?

— Nigdy się tym nie interesowałam.

— Widziała go pani kiedyś?

— Chwileczkę, zupełnie przelotnie.

Spotkałam go na schodach, akurat wychodził od Wandeczki. Spytałam ją, kto to taki. Powiedziała, że od czasu do czasu pomaga jej sprzedawać pewne drobiazgi.

— Czy sądzi pani, że panią Wołczewską i tego młodzieńca łączyły wyłącznie sprawy handlowe?

Krajnowska zarumieniła się wstydliwie.

— Och, panie majorze, ja się do takich ściśle osobistych spraw nie wtrącam, nawet jeżeli chodzi o moją serdeczną przyjaciółkę. Nic panu nie mogę powiedzieć na ten temat.

— Szkoda — Downar pokiwał głową. — No cóż... Bardzo dziękujemy za informacje i nie będziemy już pani dłużej zatrzymywać.

Zostali sami. Downar. odetchnął! z widoczną ulgą i spojrzął na Olszewskiego.

— Co o tym wszystkim myślisz?

— Myślę, że trzeba szerzej otworzyć okno — odparł Olszewski. — Te perfumy...

ROZDZIAŁ IV

Zwłoki znaleziono w lesie w okolicy Otrębus. Komendant posterunku natychmiast zawiadomił Warszawę. Na miejsce zdarzenia przyjechała grupa operacyjno--dochodzeniowa z porucznikiem Olszewskim na czele. Już wstępne oględziny terenu pozwoliły stwierdzić, że denat został przejechany przez osobowy samochód. Na miękkiej ziemi ślady opon były zupełnie wyraźne. — Odwróćcie go — powiedział Olszewski, a kiedy spełniono polecenie, pochylił się nad nieżyjącym mężczyzną i przez chwilę przyglądał mu się uważnie. — Ślady bieżników opon widoczne są również na płaszczu. Trzeba sfotografować i przekazać ten kawałek materiału do Zakładu Kryminalistyki. Kto właściwie odnalazł zwłoki?

— Dzieci — odparł sierżant Tomczyk.

— Nie zauważyliście w lesie żadnego wozu?

— Nie.

Olszewski spojrzał na lekarza,

— To chyba stało się niedawno, panie doktorze.

— Bardzo niedawno. Stężenie zwłok jeszcze niecałkowite.

— To nie wypadek — powiedział sierżant.

— Oczywiście, że nie. Na leśnej drodze kierowca nie mógł mieć takiej szybkości.

— Chyba że był pijany — zauważył lekarz.

Olszewski potrząsnął przecząco głową.

— Niech pan spojrzy na ślady, doktorze. Przejechał faceta, wrócił i jeszcze raz go przejechał. Chciał mieć pewność. To morderstwo. Znaleźliście przy denacie jakieś dokumenty?

— Tak — sierżant Tomczyk podał dowód osobisty.

Downar bardzo rzadko poddawał się nagłym emocjom, ale wiadomość o zbrodni w Otrębusach zelektryzowała go.

— Słuchaj, Stachu! — wykrzyknął potrząsając trzymanym dowodem. — Przecież z dokumentów zamordowanego wynika, że ów Zdzisław Czarnowski mieszkał w tym samym domu co i Wołczewska, na Malczewskiego!

Olszewski z udanym spokojem pokiwał głową.

— Tak, wiem — powiedział flegmatycznie. — Już zabezpieczyłem mieszkanie. Facet nie tylko mieszkał w tym samym domu, ale był najbliższym sąsiadem Wołczewskiej, przez ścianę. To jednak jeszcze nie dowodzi, że obydwie zbrodnie mają ze sobą jakiś związek.

— Oczywiście, że nie dowodzi — przytaknął Downar. — Ale jest to przedziwny zbieg okoliczności. Czy zorientowałeś się już, czym on się zajmował?

— Był fotografikiem.

— Musimy jak najszybciej przeszukać jego mieszkanie. Trzeba natychmiast wystąpić o to do prokuratora: Ty jesteś zdania, że to było morderstwo?

— Absolutnie tak. Na własne oczy widziałem wyraźne ślady opon. Przejechał go raz, potem zawrócił i przejechał drugi raz. Miejmy nadzieję, że uda nam się zidentyfikować wóz.

Już nazajutrz otrzymali: wiadomość z Zakładu Kryminalistyki, że prace nad zbadaniem śladów bieżników opon na nieprzemakalnym płaszczu zostały zakończone i ewentualna identyfikacja podejrzanego pojazdu mechanicznego nie następuje z trudności.

— Ba! — powiedział Downar. — Teraz tylko należy zdobyć „podejrzanego pojazd mechaniczny”. Drobiazg.

— Może na razie udalibyśmy się na Malczewskiego niepodjeżdżanym pojazdem mechanicznym — zaproponował Olszewski. — Warto pogawędzić choćby z dozorcą.

Dozorca okazał się człowiekiem zniechęconym do świata i ludzi. Spowodowane to było zapewne złym funkcjonowaniem wątroby. Twarz miał pożółkłą, potężne worki pod oczami. Przyjął przedstawicieli władzy bez entuzjazmu.

— Chcielibyśmy z panem porozmawiać — zaczął Downar.

— Niech panowie siadają.

Usiedli i rozejrzeli się po skromnie umeblowanym pokoju, którego ściany zawieszane były oleodrukami o treści religijnej.

— Chodzi o pana Zdzisława Czarnowskiego.

— Nie daj Boże — powiedział cicho dozorca.

Downar spojrzął na niego ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem.

— Nic daj Boże, żeby się dostał do więzienia, bo mu dałem zadatek — wyjaśnił dozorca. — Miał dla całej rodziny sfotografować grób nieboszczki matki. Pocztówkowy format.

— Z tych fotografii chyba nic nie będzie. Pan Czarnowski nie żyje.

— Matko Święta!. A co się stało? Przecież to młody chłopak.

— Wypadek samochodowy. Czy pan dobrze znał pana Czarnowskiego?

— Znałem go. Każdego lokatora po trochu muszę znać.

— Jaki to był człowiek? Dozorca wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem, jaki? Zwyczajny.

— Lubił się zabawić?

— Jak to młody.

— Odwiedzały go jakieś kobiety?

— Tego mu nie mogłem zabronić.

— Czy pan może zauważył, że przychodziła najczęściej jakaś jedna?

— Zauważyłem. Taka czarnula. Postawna dziewczucha?.

— Nie wie pan, jak się nazywa?

— Nie wiem. Słyszałem tylko, że mówił do niej „Lola”.

— Czarnowski pił?

— Każdy pije, dopóki może — westchnął dozorca. — Potem zaczyna nawalać serce, wątroba. Już nie ma życia.

— Czy pan Czarnowski miał samochód?

— Wartburga.

— Gdzie go garażował?

— Trzymał na podwórzu. Nic miał garażu.

— A w tej chwili jest ten wóz na podwórzu?

— Nawet nic zauważyłem. Wyszli przed dom.

— Nie ma — powiedział dozorca, rozejrzawszy się dokoła.

— Jakiego koloru jest ten Wartburg?

— Zielony.

— A wczoraj stał na podwórzu?

— Nie powiem, bo nie pamiętam.

— Kiedy ostatni raz widział pan Czarnowskiego?

— Parę dni temu. Dokładnie nie przypominam sobie.

— Panic Piotrowski — powiedział na zakończenie Downar. — Mieszkanie Czarnowskiego jest opieczętowane. Nikt tam nic ma prawa wejść, choćby nawet miał klucze. Proszę tego dopilnować. I niech pan lepiej z nikim nic rozmawia o tym,

że Czarnowski nie żyje.

— A z kimże ja mam rozmawiać? Nie do rozmowy mi.

Kiedy wsiadali do wozu, Downar powiedział:

— Jeżeli ktoś będzie się chciał koniecznie dostać do środka i tak wszystko pozrywa. Nie sądzę jednak, żeby tu chodziło o coś, co znajduje się w tym mieszkaniu.

Po powrocie do komendy natychmiast zawiadomili wszystkie podwarszawskie komisariaty, że poszukiwany jest zielony Wartburg. Następnie Olszewski sprawdził rejestrację wozu Zdzisława Czarnowskiego i dodatkowo przekazał tę informację.

Na rezultat nie czekali długo. Już w godzinach popołudniowych komisariat w Wawrze zameldował, że znaleźli zielonego Wartburga i że numery rejestracyjne zgadzają się.

— A teraz — powiedział Downar — trzeba porównać bieżniki opon tego samochodu ze śladami odczytanymi na płaszczu denata.

Olszewski wydawał się trochę zaskoczony.

— Sądzisz, że...?

— Właśnie tak sądzę — uśmiechnął się Downar. — Musimy natychmiast ściągnąć ten wóz i jutro z samego rana ci z Zakładu Kryminalistyki będą mieli trochę roboty.

Przypuszczenia Downara sprawdziły się. Opony zielonego Wartburga pasowały jak ulał do śladów pozostawionych na nieprzemakalnym pluszczu.

— To znaczy, że Czarnowskiego zabił jego własny wóz — powiedział Olszewski.

— Rozumowanie najzupełniej logiczne — uśmiechnął się Downar. — Teraz należy tylko odpowiedzieć na pytanie, kto wówczas siedział za kierownicą.

— Zapewne jakiś człowiek niechętnie usposobiony' do młodego fotografa.

— Genialne spostrzeżenie, Stachu. Ciekawe, co oni mogli robić w tym lesie?

— Może po prostu pojechali na wycieczkę? Chyba nie popełnimy błędu, jeżeli założymy, że obaj siedzieli w tym wozie, ofiara i morderca.

Downar pokiwał głową.

— Tak... Myślę, że masz rację. Razem pojechali do lasu. W pewnym momencie zatrzymali się. Czarnowski wysiadł, żeby na przykład załatwić pilny interes, a kiedy wracał do wozu, tamten nacisnął gaz. Czarnowski oczywiście niczego nie podejrzewał.

— To musiał być ktoś zaprzyjaźniony z nim — zauważył Olszewski. — Ciekawe, jaki był motyw zbrodni. Przy Czarnowskim znaleziono pięć tysięcy złotych, więc rabunek musimy raczej wykluczyć.

Downar skrzywił się sceptycznie

— Z tym bym się nie śpieszył. Nie zapominaj, że człowiek doświadczony, działający z premedytacją, może celowo zostawić pięć tysięcy złotych, zabierając na przykład sto tysięcy dolarów albo kilię brylantową wartą miliony. To znany chwyt, zmierzający do tego, żebyśmy właśnie wykluczyli rabunek.

Rozumowanie Downara nie bardzo trafiło Olszewskiemu do przekonania.

— Trudno przypuścić, żeby facet woził ze sobą sto tysięcy dolarów albo bezcenne klejnoty z carskiej korony. To mi wygląda raczej albo na jakieś porachunki, albo na zemstę zdradzonej kochanki. Postanowił ją rzucić i pojechali na poźegnalny spacer. Jak ci się podoba taka wersja?

Downar machnął niecierpliwie ręką.

— Daj spokój. Przeróżnych wersji można tworzyć dziesiątki przy odrobinie fantazji. To nas do niczego nie doprowadzi. Proponuję, żebyśmy sobie trochę uporządkowali materiał, który zdobyliśmy do tej pory.

— Jesteś skłonny łączyć ze sobą te dwie zbrodnie? — spytał Olszewski.

— Na razie nie — odparł Downar. — Nie chciałbym się sugerować. Dotychczas nie mamy żadnych podstaw, żeby przypuszczać, że istnieje jakiś związek pomiędzy nimi. Obydwie ofiary mieszkały wprawdzie w tym samym domu i nawet na tym samym piętrze, ale to przecież niczego nie dowodzi. Zadzwoił telefon.

Downar podniósł słuchawkę, przez chwilę trzymał ją przy uchu, powiedział: — Tak, tak, dziękuję — i zwrócił się do Olszewskiego:

— Jedziemy.

— Dokąd?

— Na Malczewskiego oczywiście. Mamy już nakaz prokuratora. Rozejrzemy się po tej pracowni fotograficznej. Zabierzemy Pakułę. On lubi sobie poszperać i dobrze to robi. Trzeba też zawiadomić dozorcę. Niech będzie obecny przy przeszukaniu.

Pieczenie nie zostały naruszone. Drzwi otworzyli kluczami, które znaleziono przy Czarnowskim.

— Może należało wziąć tych od daktyloskopii? — zastanowił się Olszewski, kiedy byli już w przedpokoju.

Downar skinął głową.

— Myślałem o tym, ale zabrałoby to za dużo czasu. Materiał daktyloskopijny tu na pewno olbrzymi. Wyobrażasz sobie, co to za robota zdjąć odciski palców w całym mieszkaniu? Myślę, że ograniczymy się do przedmiotów, które nas w jakiś sposób zainteresują. Zabezpieczymy i prześlemy do Zakładu Kryminalistyki. Energicznie wzięli się do pracy. Duży pokój zawalony był przyborami fotograficznymi, aparatami, papierami, statywami, tekturami. Na oknach butelki i słoiki z najrozmaitszymi chemikaliami, na półkach, gęsto zawieszonych na ścianach, książki, albumy i pudełka z fotografiami. Tyle tego wszystkiego, że nie wiadomo było, do czego się najprzód zabrać.

Sierżant Pakuła znalazł w kuchni projektor i przyniósł go Downarowi.

— Facet nie tylko fotografował, towarzyszu majorze, ale i kino sobie w mieszkaniu urządzał. Droga rzecz taka maszynka.

Downar z zainteresowaniem obejrzał projektor.

— Znaleźliście także jakieś błony?

— Pełno. Błony, odbitki, negatywy, pozytywy. Co kto chce. Gołe babki, psy, koty, widoczki, parę zdjęć jakiegoś starszego gościa, kolumna Zygmunta, Starówka. Dużo tego...

Podczas gdy Downar zapoznawał się z dorobkiem artystycznym Czarnowskiego, Olszewski kolejno wyciągał z biurka szuflady i zagłębiał się w studiowaniu korespondencji. Na dnie jednej z szuflad znalazł fotografię, nieco już przyżółkłą.

— Zobacz, Stefan. Skądś znam tę twarz.

Downar zbliżył się i wziął do ręki zdjęcie.

— Fotografia tego starszego pana stała no etażerze w mieszkaniu Wołczewskiej. Czeka, czeka... I te negatywy, które przed chwilą oglądałem...

— Kukułka! — zawołał nagle Pakuła. Spojrzeli na niego zdziwieni. Sierżant trzymał w ręku małego, drewnianego ptaszka.

— Kukułka. Znalazłem ją w kuchni, w szafce pod oknem.

— Dlaczego przypuszczacie, że to kukułka? — uśmiechnął się Downar.

— No jak to dlaczego? Bo przecież to kukułka. Taka od zegara. Ten dzióbek. Rusza się. Opada do dołu. Na pewno od zegara.

Downar wziął do ręki drewnianego ptaszka.

— Rzeczywiście. Macie rację. To kukułka od jakiegoś starego zegara. A gdzież ten zegar?

Pakuła wzruszył ramionami.

— Ani śladu, towarzyszu majorze.

— Po diabła mu była kukułka bez zegara?

— A bo ja wiem. Różne ludzie mają dziwactwa.

— Może to jakaś rodzinna pamiątka — powiedział Olszewski.

Downar obracał w palcach kukułkę i przyglądał jej się uważnie.

— Czekajcie. Tak mi się zdaje, jakby tutaj była jakaś rysa, a nawet wygląda to na... Spójrz, Stachu.

Olszewski pochylił się.

— Masz rację. Tak wygląda, jakby ktoś w tym miejscu kukułkę załatał. A może zobaczylibyśmy, czy nie ma czegoś w środku?

— To samo chciałem powiedzieć — odezwał się Pakuła. —

Wypatroszymy ptaszka.

— Trochę co prawda szkoda — Downar stanął w obronie kukułki. — Stara rzecz, antyk...

Pakuła wyjął z kieszeni scyzoryk.

— Antyk nie antyk, towarzyszu majorze, a zajrzeć warto. Jeszczem nigdy nie widział, żeby ktoś kukułkę bez zegara trzymał.

Sierżant miał duże zdolności do robót ręcznych. Bardzo zgrabnie posługiwał się scyzorykiem. Mogło się zdawać, że w życiu nic innego nie robił, tylko patroszył drewniane kukułki. I nagle wydał triumfalny okrzyk:

— A co! Mówiłem, że to dziwne. Wewnątrz ptaszka ktoś umieścił trzy pierścionki. Nie trzeba było wybitnego fachowca, żeby się zorientować, iż brylanty były bardzo cenne.

Olszewski wyjął z kieszeni szkło powiększające, które zawsze ze sobą zabierał na taką akcję.

— Piękne kamienie — powiedział z uznaniem. — Niezwykle piękne. Nie jestem znawcą, ale to chyba blauweissy. A i oprawki też ekstra, stary wyrób. Teraz się czegoś takiego nie widuje. Ta kukułka warta jest majątek.

Downar w zamyśleniu obejrzał pierścionki. Następnie znowu zaczął obracać w palcach drewnianego ptaszka.

— Chciałbym znaleźć zegar, w którym urzędowała ta kukułka. Mogłoby to być bardzo interesujące.

— A mnie jeszcze bardziej interesuje, czyje pierścionki tak zmyślnie ukryto — zauważył Olszewski. — Bo jeżeli okazałoby się, że...

— To wtedy połączyłyby się nam dwie sprawy — uzupełnił Downar.

— Może fotograf tak zgrabnie zadekował rodzinną biżuterię? — wtrącił się Pakuła. — Chociaż za bardzo mi się nie widzi. Cały ten majdan zabierzemy do komendy, towarzyszu majorze?

Downar pokiwał głową.

— Może nic cały, ale sporo zabierzemy. Trzeba będzie to wszystko spokojnie i fachowo zbadać. Materiału jest niemało.

Wrócili do przerwanej pracy. Downar w dalszym ciągu przeglądał fotografie, błony i klisze. Pakuła zajął się łazienką, która bardziej chyba służyła do wywoływania zdjęć aniżeli do mycia, Olszewski zaś sięgnął do książek i obrazów, które zdejmował ze ścian, opukiwał ramy, szukał zamaskowanych schowków. Kukułka nafaszerowana brylantami zrobiła na nim najwidoczniej duże wrażenie. W pewnej chwili powiedział:

— Chodź no... Zobacz.

Downar uniósł głowę znad stosu fotografii, po czym podszedł do ściany, przy której stał porucznik.

— Coś tam znowu odkrył?

— Tu wisiał obraz — powiedział Olszewski.

— Wisiał. I co z tego?

— Widzisz tę jaśniejszą plamę?

— Wygląda, jakby ktoś to miejsce niedawno zamalował.

— Właśnie. Świeża farba. A czy wiesz, co znajduje się za tą ścianą?

— Oczywiście. Mieszkanie Wołczewskiej.

— Interesujące, prawda?

— Nie bardzo chwytam, co masz na myśli — powiedział Downar.

— Chwileczkę. Zaraz ci coś przypomnę. W mieszkaniu „świętej pamięci” pani Wołczewskiej wisi po drugiej stronie tej ściany wielki olejny obraz.

Pastuszkowie, owieczki, pieski, wszystko na ciemnym tle.

Downar pokiwał głową.

— Pamiętam. Zdejmowałeś to płótno.

— Otóż to. Zdejmując zauważyłem pod nim kołek wbity w ścianę. Wtedy myślałem, że po prostu Wołczewska początkowo chciała powiesić ten obraz niżej i kazała niżej wbić kołek. Teraz już tak nie myślę. Rozumiesz?

Downar nie odpowiedział. Zawołał Pakułę i kazał mu szczyrykiem poskrobać ścianę. Sierżant z zapalem zabrał się do dzieła. Po kilku minutach wyciągnął długi, drewniany patyk, bardzo dokładnie dopasowany do otworu.

— Znakiem tego facet podglądał babkę przez tę dziurę — oznajmił. — Ale że mu się chciało tyle pracy w to włożyć. Przecież to była stara baba. Poza tym nic nie widać. Na tamtej ścianie musi coś wisieć.

— I wisi — przytaknął Olszewski. — bardzo stary obraz. Płótno popękane. W tym obrazie ktoś wyciął kółeczko, ale zapewne tak, że płótno nic oderwał, ..tylko przyczepił do niego na przykład nylonową nitkę. Pociągnął za nitkę, klapka się odginała i widział, co się dzieje w mieszkaniu sąsiadki.

Pakuła był szczerze zdziwiony.

— To nie do uwierzenia, żeby młody chłop tak się zachwycił staruszką. Chyba jaki zboczeniec.

— Żaden zboczeniec — uśmiechnął się Olszewski. — Lepszy cwaniak.

Downar bez słowa wziął z biurka projektor i przystawił go do otworu w ścianie.

— Pasuje, jak ulał — powiedział. — Sprytnie pomyślane.

Staranne przejrzanie i posegregowanie fotografii, znalezionych w atelier Zdzisława Czarnowskiego, przyniosło nadspodziewanie interesujące rezultaty. Na przykład pani Lucyna Mielczakowa, zupełnie naga, w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka, również w stroju adamowym. Ten sam rozebrany młodzieniec w czulej pozie z tęgawą blondynką, bardzo oszczędnie przyodzianą. Pani Lucyna, ciągle jak ją Pan Bóg stworzył, śmiejąca się zalotnie do ognistej brunetki itd. itd. Wszystko to razem robiło wrażenie fotoreportażu z kolonii nudystów. Sporo było również taśmy filmowej, pasującej do projektora, który

znakomicie był przystosowany do owego otworu w ścianie. Na jednej taśmie znajdowało się szereg zdjęć jakiegoś starszego mężczyzny.

Downar nic namyślał się długo. Natychmiast posiał Olszewskiego po panią doktorową Mielczakową. Zdecydował, że ta rozmowa musi się odbyć na terenie komendy.

— Sprowadź ją tutaj tak, żeby jej mąż nie zorientował się, gdzie jedzie i w jakim celu. Nie pozwól jej także zostawić kartki. Na razie nie chciałbym go mieszać do tej sprawy.

Olszowskiemu najwidoczniej ekspedycja powiodła się bez większych trudności, ponieważ niebawem wrócił w towarzystwie pięknej pani Lucyny. Była w szampańskim humorze. Zapach francuskich perfum mieszał się z ledwie zauważalnym aromatem również francuskiego koniaku.

Downar głęboko wciągnął w nozdrza powietrze, pomyślał ..Courvoisier , i uprzejmym gestem wskazał krzesło stojące przed biurkiem.

— Proszę, pani będzie łaskawa spocząć. Usiadła, wyjęła z torebki kosmetyczkę i w nieco kokieteryjny sposób poprawiła maquillagc.

— Jakoś bardzo często spotykamy się ostatnio z panem, panie majorze...

— Cała przyjemność po mojej stronie — uśmiechnął się Downar. — Przykro mi, że zmuszeni jesteśmy panią niepokoić, ale pewne sprawy wymagają wyjaśnienia.

— Z największą chęcią. Wszystko wyjaśnię, co trzeba.

Downar wyjął z tekturowej teczki fotografię starszego pana, którego twarz uwieczniona została również na taśmie filmowej.

— Czy to może ojciec pani? — spytał posuwając odbitkę po blacie biurka.

— Ależ oczywiście. Mój tatuś. Skąd pan ma jego zdjęcie?

— Komu pani dała tę fotografię ojca? Zrobiła zdumioną minę.

— Ja? Nikomu nie dawałam fotografii tatusia.

— Niech pani sobie dobrze przypomni.

— Ależ zapewniam pana, panie majorze, że nikomu nic dawałam żadnego zdjęcia, a tym bardziej zdjęcia mojego ojca. W ogóle w jakim celu mogłabym zrobić taką rzecz?

— Właśnie. W jakim celu? — powtórzył Downar. Uważnie przyjrzał się pani Lucynie, która pod tym spojrzeniem poruszyła się niespokojnie. Po chwili spytał:

— Czy pani zna niejakiego Zdzisława Czarnowskiego?

— Czarnowskiego? Zdzisława? Nie znam. Nawet nigdy o kimś takim nie słyszałam.

Z kolei zdumiał się Downar.

— Czy być może? Byłem przekonany, że to pani znajomy, i to bardzo dobry znajomy, w przeciwnym razie chyba by pani nie pozwoliła robić tych zdjęć. — Rozłożył na biurku ryzykowne fotografie, których bohaterką była pani Lucyna. Pogodny nastrój znikł bez śladu. Poderwała się z miejsca.

— To jest bezczelność! To jest świństwo! Szantaż!

— Czy pani mówi pod moim adresem? — spyta! chłodno Downar. — Uprzedzam, że nasza rozmowa odbywa się w komendzie milicji i ma charakter oficjalny.

Zreflektowała się.

— Ależ nic... ja... ja nie do pana...

— A kogo miała pani na myśli?

— Przecież pan widzi, że to są ohydne fotomontaże! — wykrzyknęła z nowym zapalem. — Jak pan mógł w ogóle przypuszczać, że ja...

Downar znowu się zdziwił.

— Fotomontaże? Rzeczywiście obrzydliwe. Takie rzeczy są karalne. Musimy to sprawdzić.

— Sprawdzić? A jak? — spojrzała na niego z niepokojem.

— Normalnie. Prześlemy te odbitki do naszego Zakładu Kryminalistyki. Tam wszystko zbadają i wydadzą orzeczenie w tej sprawie. Jeżeli istotnie mamy do czynienia- z fotomontażami, ten człowiek zostanie surowo ukarany. Jeżeli natomiast pani nas wprowadza w błąd, pani zostanie surowo ukarana.

Spuściła głowę i zaczęła płakać. Downar odczekał dłuższą chwilę. Następnie spytał łagodnie:

— Dlaczego pani płacze?

— To... To nie są fotomontaże — szepnęła przez łzy.

— Doskonale o tym wiedziałem — uśmiechnął się Downar. — Chyba nie przypuszcza pani, że ja się w tych sprawach zupełnie nie orientuję. Pani usiłowała mnie okłamać.

Podniosła chusteczkę do oczu.

— Przecież.., przecież.., musiałam się jakoś ratować... Gdyby mój mąż...

— Zapewniam panią, że nie mam najmniejszego zamiaru mieszać do tej sprawy pani męża. Jednakże pod jednym warunkiem.

— Pod warunkiem,..? Pod jakim warunkiem?

— Pod warunkiem, że pani zdecyduje się na zupełnie szczerą rozmowę ze mną. Nie, nie, to nie jest żaden szantaż. To tylko konieczność, którą dyktuje mi mój obowiązek. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, a właściwie w sprawie dwóch morderstw i jeżeli pewnych rzeczy nie dowiem się od pani, będę zmuszony zwrócić się do pani męża o niezbędne wyjaśnienia. Na to niestety nic nie poradzę.

— Co pan chce wiedzieć?

— Po pierwsze interesuje mnie wszystko, co pani jest wiadome na temat Zdzisława Czarnowskiego.

— Przystojny mężczyzna, bardzo przystojny.

— Tak. Był przystojnym mężczyzną — przyznał Downar.

Spojrzała na niego niespokojnie.

— Jak to „był”?

— Ponieważ Zdzisław Czarnowski nie żyje.

— Jezus Maria! Co się stało?

- Został zamordowany.
- Zamordowany? Zdzich?
- Ktoś przejechał go wozem,
- Wypadek?
- Nie. Nie wypadek. Ktoś go naumyślnie przejechał.
Podniosła rękę do twarzy.
- To ta kurwa.
- Kogo pani ma na myśli? — spytał spokojnie Downar.
- To ta cholerna Lola. Ja nigdy nie miałam do niej przekonania. Zawsze uważałam ją za podłą, fałszywą, podstępną, zdolną do najgorszych rzeczy.
- O kim pani mówi? Co za Lola?
- Taka wstrętna dziwka.
- Jak się nazywa?
- A bo ja wiem? Nigdy nie pytałam jej o nazwisko.
- Czy jest na którejś z tych fotografii?
- To było po wódce, panie majorze, po większej wódce. Słowo honoru. Przecież nigdy bym się nie zgodziła... Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Po pijanemu. Namówili mnie. Wszyscy się porozbierali. Nastawili adapter... Zdzich zaczął pstrykać. Śmieliśmy się. Nie zdawałam sobie sprawy, co robię. Niech mi pan wierzy.
- Czy panna Lola jest na którejś z tych fotografii? — powtórzył pytanie Downar.
- To ta — wskazała palcem Lucyna. — Ta razem ze mną.
Downar wziął do ręki zdjęcie.
- Ładna dziewczyna. Pięknie zbudowana.
- Gdzie ona ładna?! — oburzyła się pani Lucyna. — Pokraka. Nie widzi pan tych krzywych nóg? Mężczyźni to doprawdy oczu nie mają.
- Więc pani nie zna jej nazwiska?
- Nie.
- A na jakiej podstawie pani przypuszcza, że to ona mogła zabić Zdzisława Czarnowskiego?
- Bo to do niej podobne.
- Trochę za mało, żeby podejrzewać kogoś o morderstwo.
- Była cholernie zazdrosna o Zdzicha.
- To znaczy, że Czarnowski i Lola romansowali ze sobą.
- Jakie tam romansowanie. Przespał się z nią kilka razy, a jej się zaraz Bóg wie nie co ubrdało. Myślała, idiotka, że się będzie żenił. Gdzie mu było do żeniaczki z taką. Już wolał Brygidę.
- Która to? Jest na zdjęciu?
- Jest. O tutaj, razem z Waciem.
- To ta blondyna?
- Tak. Powinna trochę schudnąć, ale ciągle lata do „Hortexu”. Nie można jej przetłumaczyć.

— Jak się nazywa panna Brygida?

— Wiśniewska. Odbiła Loli Zdzicha, a że. Lola ma takie cholerne usposobienie, no, po prostu wariatka.. Jak ją coś takiego napadnie, to może zabić człowieka. Na nic nie zważa. RzUCA, czym popadnie, nóż nie nóż, kryształ nie kryształ. Kiedyś cisnęła w Zdzicha taką dużą salaterką pełną sałatki. Całe szczęście, że się uchylił.

Downar znowu zaczął przeglądać zdjęcia.

— A ten młody człowiek z długimi włosami, który sfotografował się z panią i z panną Brygidą Wiśniewską?

— To Wacio. Mówiłam już panu. Wacio Rowecki. Bardzo sympatyczny.

— A czym się Wacio zajmuje?

— Czym się zajmuje? — powtórzyła pani Lucyna i zadumała się. — Właściwie to nie wiem. Tak się obija. Jego ojciec jest podobno jakąś fiszą.

— Ma pani adres Wacia? Zawahała się.

— Niech się pani nie obawia. Nie powiem mu, że jego adres otrzymałem od pani.

— Tak... Właśnie... Wolałabym, żeby to nic ode mnie. Mógłby mieć pretensję.

Dam panu jego adres i telefon, ale bardzo proszę o dyskrecję.

— A adres Brygidy?

— Nie wiem, gdzie mieszka. Prawdę mówiąc adresy dziewczyn mnie nie interesują.

— Czy Wacio przyjaźnił się z Czarnowskim?

— Raczej tak. To był jego kumpel.

— A może między nimi coś się ostatnio psuło? Nie wie pani?

Wzruszyła ramionami.

— Trudno mi powiedzieć. Możliwe, że Wacio miał trochę żalu o Brygidę.

— Bo co?

— Bo Brygida dłuższy czas kombinowała z Waciem, a później poderwał ją Zdzich. Wacio to taki dziwny typ. Trochę romantyk. Był zakochany w Brygidzie. Przeżywał... Niedzisiejszy chłopak. Co mu to właściwie mogło szkodzić, że Brygida trochę ze Zdzichem... Ja tam nie jestem taka małostkowa.

— Czy pani wie, że Czarnowski miał aparat projekcyjny?

— Taki do puszczania filmu? Miał. Kupił sobie.

— I co on robił z tym aparatem projekcyjnym?

— Przywiózł kiedyś z Danii czy z Holandii takie świńskie filmy i wyświetlał na ścianie. Nie podobało mi się. Ordynarne.

Downar uporządkował kartki, na których notował.

— No cóż... Jeszcze tylko poproszę panią o adres i telefon Wacia i chyba na dzisiaj skończymy naszą rozmowę.

— Ale pan nic nie powie mojemu mężowi, prawda?

— Nie powiem.

W tej chrystusowej twarzy było coś pociągającego i niepokojącego zarazem. Uduchowanie, mistycyzm, jakieś magnetyczne fluidy czy po prostu wódka i narkotyki.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wacio Rowecki zachowywał się tak, jakby był sam w pokoju. Nucił coś pod nosem i wodził roztargnionym spojrzeniem po ścianach i po suficie. Natomiast Downar zastanawiał się, ile w tym wszystkim jest pozy. Doszedł do wniosku, że dużo.

— Pan nazywa się Waław Rowecki?

Długowłosa młodzieniec dotknął niedbałym ruchem swojej wypielęgowanej brody.

— Przecież pan doskonale wie, jak się nazywam. Po co tracić czas na stwierdzanie znanych nam faktów?

— To tylko taka administracyjna formalność — wyjaśnił uprzejmie Downar. — Chodzi o to, żeby wykluczyć jakąkolwiek pomyłkę.

— Nie ma mowy o pomyłce. Zastanawiałem się przed chwilą, która z tych „dam” dała panu mój adres? Pan mi oczywiście tego nie powie.

— Czy pan sądzi, że to dla nas takie skomplikowane odnaleźć kogoś w Warszawie? — uśmiechnął się Downar.

Wacio oderwał wzrok od sufitu i niechętnie spojrzał na swojego rozmówcę.

— Właściwie o co chodzi? Czego chcecie ode mnie? Nie przypominam sobie, że bym coś ukradł albo że bym kogoś zabił.

— Nie podejrzewamy pana o żadne z tych przestępstw — powiedział poważnie Downar, którego zaczynała bawić ta rozmowa. — Chciałbym się od pana czegoś dowiedzieć na temat niejakiego Zdzisława Czarnowskiego.

Spojrzenie ciemnych, leciutko zamglonych oczu straciło nagle swą bezgraniczną obojętność. Krótki, przelotny błysk niepokoju, dostrzegalny tylko dla bardzo wytrawnego znawcy ludzkich spojrzeń.

— To mój znajomy. Sympatyczny człowiek, tylko niestety dosyć ograniczony.

— Zdzisław Czarnowski nie żyje. Został zamordowany.

— O, to bardzo przykre. — Wypowiedziane to zostało tonem przesadnie obojętnym.

Zła reżyseria — pomyślał Downar.

— Widzę, że niespecjalnie przejął się pan wiadomością o śmierci swego przyjaciela.

Wacio zwilżył wargi końcem języka.

— Po pierwsze Zdzisław Czarnowski nie był nigdy moim przyjacielem, a po drugie śmierć nie robi na mnie najmniejszego wrażenia. Każdy przecież musi umrzeć, a kiedy się to stanie i w jakich okolicznościach, to naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Oczywiście trochę mi szkoda Zdzicha, bo mógł jeszcze jakiś czas pożyć. Ale trudno, widocznie tak chciał los.

— Od dawna pan znał Czarnowskiego?

- O, kawał czasu, kilka lat. Downar wyjął z szuflady kopertę z ryzykownymi fotografiami.
- Może pan rzuci na to okiem. Wacio obojętnie przejrzał zdjęcia i z powrotem wsunął je do szarej koperty.
- Nie wszystkie udane — powiedział spokojnie. — Ale Zdzisław wtedy sporo wypił i zapewne dlatego...
- Czy często urządzaliście sobie takie seanse?
- Od czasu do czasu. To chyba nie jest zabronione ustawowo.
- Czy pan wie, w jaki sposób zginął Zdzisław Czarnowski?
- A skądże mam to wiedzieć? W ogóle nie wiedziałem, że nie żyje.
- To mi się wydaje mało prawdopodobne — powiedział wolno Downar i utkwiał uważne spojrzenie w twarzy domorosłego filozofa. — Ale mniejsza z tym. Otóż Zdzisław Czarnowski został przejechany przez samochód. Nie, nie, nie żaden wypadek. Ktoś go zabił jego własnym wozem. Ciekawe, kto wtedy siedział przy kierownicy? Jak pan sądzi?
- Dlaczego pan mnie o to pyta? — Po raz, pierwszy od początku rozmowy w głosie Wacia zadźwięczał wyraźny niepokój.
- Pytam, ponieważ pan był dobrym znajomym Czarnowskiego. Nawet bardzo dobrym, czego chyba najlepiej dowodzą te zdjęcia. Pan wie lepiej ode mnie, komu mogło zależeć na zglądzeniu tego człowieka.
- Nic nie wiem, absolutnie nic nie wiem.
- Co pan robił we wtorek osiemnastego czerwca?
- Nie pamiętam.
- Niech pan sobie spróbuje przypomnieć. To ważne.
- Ależ nie pamiętam. Zapewniam panu...
- Downar miał zatroskaną minę.
- Niedobrze, No, cóż...- Niech mi pan wobec tego powie, jak się ostatnio układały pana stosunki z Czarnowskim?
- Zwyczajnie.
- Czy coś się między wami nie popsuło?
- A co się miało popsuć? — Spojrzenie Wacia już nie było takie roztargnione, było czujne.
- A jak to się stało, że Brygida od pana odeszła? — pytał dalej Downar glosom najzupełniej obojętnym.
- Młody człowiek, zaskoczony, gwałtownie szarpnął brodę.
- Skąd pan wie? Od kogo?
- To nie ma znaczenia. Wiem, że panna Brygida, pańska dziewczyna, rzuciła pana dla Czarnowskiego.
- To nikogo nie obchodzi. To są nasze prywatne sprawy.
- Myli się pan — uśmiechnął się łagodnie Downar. — Mnie to bardzo obchodzi. Proszę nie zapominać, że Zdzisław Czarnowski został zamordowany, a morderstwa dokonał ktoś z jego znajomych, ktoś, kto jechał z nim jego wozem. Pan był zazdrosny o tę dziewczynę... Taki motyw zbrodni mógłby nam pasować.

Rowecki zerwał się.

— Ja go nie zabiłem! Rany boskie! Ja go nie zabiłem!

— Spokojnie. Spokojnie. Bez hysterii — powiedział energicznie Downar. — Niechże pan siada i niech pan sobie wszystko dobrze przypomni. A może spotkał pan Czarnowskiego we wtorek osiemnastego czerwca?

— Spotkałem.

— O, widzi pan. Już o wiele lepiej, Zaczynamy się dogadywać. I od początku naszej rozmowy orientował się pan, że Czarnowski nie żyje?

— -Tak.

— Zupełnie niepotrzebnie pan skłamał.

— Bałem się, że mnie będziecie podejrzewać... że... że mnie ktoś widział.

Downar przysunął się bliżej do biurka.

— Ze ktoś pana widział? Gdzie?

— W Wartburgu Zdzisława.

— To pan tego dnia jechał jego wozem?

— Tak. Prosiłem, żeby mnie podrzucił do telewizji.

— Gdzie się panowie spotkali?

— Na Nowym Mieście. Nawet się zdziwiłem, jak go tam spostrzegłem. Zapylałem, dokąd jedzie. Powiedział, że musi na chwilę wstąpić na Odyńca, a potem na Malczewskiego, do siebie. Bardzo się śpieszyłem. Poprosiłem go, żeby mnie podwiózł do telewizji. To blisko, na Woronicza. Pan wie?

— Wiem. Czy Czarnowski nie mówił panu, po co pojechał na Nowe Miasto?

— Nie. Nawet go pytałem, ale burknął tylko, że miał coś do załatwienia.

— A potem zamierzał wstąpić na Odyńca.

— Tak.

— I także pan nie wie, po co? Do kogo pojechał?

— Nie wiem.

— A czy wspomniał panu, że wybiera się do Otrębus?

— Nie. Nic mi nie mówił.

— A pan przypadkiem nie pojechał z nim do Otrębus na wycieczkę?

— Pan mnie ciągle podejrzewa. Dlaczego właśnie mnie?

— Bo pan był cięty na Czarnowskiego o tę dziewczynę i nie pamięta pan, co pan robił tego dnia, kiedy Czarnowski został zamordowany. Jak długo przebywał pan w gmachu telewizji?

— Wcale w telewizji nie byłem.

— Przecież Czarnowski pana podwiózł.

— Tok. Ale się rozmyśliłem i nic poszedłem.

— I co pan robił?

— Łaziłem.

— Sam?

— Sam. Później chyba byłem w knajpie, ale nie pamiętam, czy to tego dnia, czy następnego.

— W jakiej knajpie?

- W tej rybnej, na Puławskiej Mordownia.
- Sam pan był?
- Spotkałem znajomego.
- Kto to tuki? Jak się nazywa?
- Nawet nie wiem. Taki znajomy z widzenia. Piliśmy kiedyś w „Rycerskiej”. Sympatyczny facet. Lubi się przysiąść. Towarzyski.
- Downar wsunął do szuflady akta sprawy.
- Dziękuję panu. Na dzisiaj to wszystko. Chyba, żeby pan chciał jeszcze coś dorzucić.
- Nie. Nic nie chcę dorzucać — powiedział Wacio i wstał.
- Adres Loli Stachowiak znaleźli w notatniku Czarnowskiego. Było trochę kłopotu ze sprowadzeniem jej do komendy, ale Pakuła dał sobie jakoś radę.
- Nie z takimi babkami miało się do czynienia — powiedział chełpliwie.
- Lola początkowo zachowywała się nieco agresywnie.
- Dlaczego mnie aresztujecie? Jakim prawem? Ja nic nie zrobiłam. Nie mam nic wspólnego z żadnymi machlojkami. Niech pan nie myśli, że ja handluję walutą. Ani mi w głowie. Zaraz zatelefonuje do mojego adwokata. Niech on się tym zajmie. Nie mam zamiaru siedzieć w więzieniu!!
- Spokojnie, spokojnie — uciszył ją Downar łagodnym, ale stanowczym głosem. — Zupełnie niepotrzebnie pani się denerwuje. Po pierwsze nie jest pani aresztowana. Wysłaliśmy do pani pismo z prośbą o stawienie się w komendzie, a ponieważ pani nie przyszła, więc kolega zaprosi! tu panią osobiście. Po drugie o nic panią nie oskarżamy ani nie podejrzewamy. Po prostu chodzi nam o pewne wyjaśnienia.
- O jakie wyjaśnienia?
- Pani zapewne znała Zdzisława Czarnowskiego.
- Jasne, że go znałam.
- I pani wie, że Czarnowski nie żyje.
- Tak. Podobno ktoś go zaciukał.
- Ktoś go zabił jego własnym wozem.
- Lepszy numer.
- Pani .była przyjaciółką Czarnowskiego.
- A pan skąd wie takie rzeczy? Kiedyś trochę z nim chodziłam, ale... To nie był dla mnie facet.
- Dlaczego?
- Cholerny babiarz. I taki miał gust, że aż wstyd. Spodobała mu się taka beczka sadła.
- Downar podał jej fotografię tęgiej blondynki.
- To ona. Brygida. Głupia idiotka. Nic, tylko by żarła. Niedługo będą ją na wózku wozili. W „Hortexie” potrafi wtrząchnąć trzy ambrozje i jeszcze się za czwartą ogląda.
- Downar wyjął z koperty i inne fotografie.
- Znaleźliśmy także i pani zdjęcia w takim niekompletnym stroju.

Lola wzruszyła ramionami. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

— No i co z tego? Prywatnie każdy może się fotografować, jak chce. Ja tam się nie wstydzę. Żebym była jaka pokrzywiona albo ułomna, co innego. Niech pan spojrzy na te nogi. Nie powie pan chyba, że jestem niezgrabna.

— Jest pani bardzo zgrabna — przyznał szczerze Downar. — Nie przeczę.

Z zadowoleniem pociągnęła dłonią po smukłej łydce.

— Więc czego pan właściwie ode mnie chce? Po co żeście mnie tu ściągnęli?

— Szukamy mordercy Czarnowskiego. Rozmawiamy z jego znajomymi.

Chcemy się czegoś o nim dowiedzieć.

— Ja go nie zabiłam. Szkoda fatygi.

— Dlaczego pani tak ze mną niesympatycznie rozmawia? — spytał Downar.

— A czy muszę sympatycznie?

— Nie musi pani, ale mogłaby pani.

— Zależy panu na tym?

— Zawsze to milej rozmawiać sympatycznie aniżeli niesympatycznie.

— Wiec co pan chce, żebym panu sympatycznie powiedziała?

— Wszystko, co pani wie o Zdzisławie Czarnowskim.

— Kawał drania. Babiarsz. Leciał nawet na stare baby, ale to chyba dla forsy.

Forse bardzo lubił, może nawet bardziej niż babki.

— Wspomniała pani, że do starszych pań się zalecał.

— Jeszcze jak. Nie mogłam się nadziwić, że takie stare prukwy do wozu zabiera.

— Zna pani którąś z tych „dojrzałych” sympatii Czarnowskiego?

— Skądże. A mnie co one obchodzą? Wiem tylko, że była jakaś Wandzia, jakaś Helcia, jakaś Cesia. Opowiadał mi Zdzich. Nabijał się.

— Czy pani rzeczywiście sądzi, że te znajomości utrzymywał Czarnowski dla korzyści materialnych?

— Jasne. A po cóż by? Potrzebował forsy. Nieraz mi mówił, że chce założyć większą pracownię, bo w tej na Malczewskiego już się nie mieści.

— Pani często bywała w mieszkaniu Czarnowskiego ?

— Kiedyś dosyć często, ale jak się spiknął z tą spasioną krową, to go rzuciłam w czorty. Żeby to chociaż była jakaś bombowa dziewczyna, to nie żał by mi było, ale takie zero, taka beczka łaju, tfuuu !

— A o tamte starsze panie nie była pani zazdrosna?

— To co innego. Sprawy handlowe. Przecież wiedziałam, że go te próchna nie brały.

— Czy pani знаła najbliższą sąsiadkę Czarnowskiego?

— Mówi pan o tej obok, co wykorkowała. Podobno otruła się z miłości. Babka pod siedemdziesiątkę i z miłości się truje. Coś takiego..! Nie, nie znałam jej.

Czasami spotykałam ją na schodach. Trzeba przyznać, że jak na te lata, jeszcze była na chodzie. Trzymała się pierwsza klasa.

Ale żeby się truć w tym wieku...

— To Czarnowski miał z nią jakieś sprawy handlowe?

— Nie wiem. Nie mówił mi, a ja się nie pytałam. Co mnie w końcu obchodzi..,

- W mieszkaniu Czarnowskiego znaleźliśmy aparat projekcyjny.
- Tak. Miał coś takiego. Puszczal na ścianę różne takie świństwa. Mnie tam to nie bawi. Lubię w naturze, a nie na ścianie. A pan?
- Nie mam wyrobionego zdania w tej sprawie — uśmiechnął się Downar. — Chciałbym jeszcze panią zapytać o taką rzecz. Co pani sądzi o Wacławie Roweckim?
- Wacio? Pętaś. Zgrywus, ale można się z nim zabawić.
- To znaczy...?
- Zgrywa się na wielkiego artystę. Frajerów może zabajtlować, ale nie mnie.
- Podobno był zakochany w tej Brygidce.
- Bo ja wiem..., Może udawał. On lubi takie romantyczne pozy.
- I o tę dziewczynę pożarli się z Czarnowskim.
- Zgadza się. Nawet Wacio kiedyś dał w mordę Zdzichowi, ale potem się pogodzili. Popiliśmy na to konto i tyle.
- Niech mi pani powie, czy Czarnowski miał zegar z kukułką?
- Zegar z kukułką? Nie. Nigdy takiego zegara u niego nie widziałam. Miał zegarek na rękę i radziecki budzik, ale z kukułką nie...
- A może pani widziała u niego kukułkę bez zegara?
- Roześmiała się.
- Dobry kawał. Pan jest dowcipny. Nie, nigdy nie widziałam kukułki bez zegara.

- Była mizerna. Miała zaczerwienione, podkrążone oczy.
- Źle się pani czuje? — spytał troskliwie Downar.
- Elżbieta potrząsnęła głową.
- Nie, właściwie nic. Tak jakoś... Może po prostu jestem niewyspana. Ostatnio bardzo źle sypiam. Dużo myślę o mamie. Mam wyrzuty sumienia.
- Wyrzuty sumienia?
- Tak. Bo gdybym wtedy, po kinie zabrała mamę do nas, może by się to wszystko nie stało...
- Downar dotknął jej dłoni.
- Niech się pani nie dręczy. Nie ma sensu. Bez względu na to, czy miało miejsce samobójstwo, czy też ktoś spreparował celowo ową fatalną miksturę, nikt nie mógł temu zapobiec. Wcześniej czy później musiało się tak stać.
- Mama nie odebrała sobie życia — powiedziała stanowczo Elżbieta. — Ona kochała życie, chciała żyć.
- Czy nie sądzi pani, że mógł wchodzić w grę zawód miłosny?
- Zawód miłosny? Pan chyba żartuje. W tym wieku?
- Downar pokiwał głową.
- Właśnie w tym wieku zawód miłosny może przybrać bardzo ostre formy.
- Wykluczone. Mama lubiła flirtować, ale żeby... Nie, nie, o tym nie ma mowy. Wykluczone.

- Sąsiadem pani mamy był niejaki Zdzisław Czarnowski, fotografik.
- Tak. Wiem. Słyszałam, że został zamordowany. Mówił mi Jurek. Czy pan, panie Stefanie, łączy ze sobą oba morderstwa?
- Nie chciałbym wydawać zbyt pochopnej opinii — odparł ostrożnie Downar.
- Przyznać trzeba, że to dosyć dziwny zbieg okoliczności... w tym samym domu, w sąsiednim mieszkaniu... ale może to czysty przypadek. Czy pani nie zauważyła, że w mieszkaniu mamy czegoś brakuje?
- Nie. Co pan ma na myśli?
- Czy mama miała może zegar z kukułką?
- Elżbieta spojrzała na niego zaskoczona.
- Miała Rzeczywiście. Gdzież ten zegar?
- Downar sięgnął do szuflady i wyjął trzy pierścionki z brylantami.
- Widziała pani już kiedyś tę biżuterię?
- Ależ oczywiście! To pierścionki mamy. Gdzie pan je znalazł?
- W dosyć dziwnym miejscu. W kukułce.
- W kukułce?
- Tak. W kukułce. Takiej od zegara. Czy pani wie coś na ten temat?
- Absolutnie nic. Jestem bardzo zaskoczona...
- Mama nigdy nie zwierzała się pani z tego, że ma zamiar ukryć te pierścionki?
- No tak... owszem. Mówiła mi, że wszystkie cenniejsze rzeczy musi jakoś zabezpieczyć. Bała się, że jej mąż, czyli Michał... No, wie pan...
- Downar skinął głową.
- Rozumiem. Ale nic wspominała pani, że chciałyby te precjoza ukryć w kukułce?
- Nic. Nic takiego nie mówiła. Przedziwny pomysł. A gdzie jest zegar?
- Właśnie. Gdzie jest zegar? — powtórzył Downar. — To mnie także bardzo interesuje. Czy mama знаła tego fotografika, który obok niej mieszkał?
- Na pewno go znała tak z widzenia, -jako najbliższego sąsiada. Ale nigdy ze mną nie rozmawiała na jego temat.
- A czy w ogóle miała zwyczaj rozmawiać z panią o swoich... jakby tu powiedzieć?... przeżyciach romantycznych.
- Czasami tak, ale raczej rzadko. To znaczy... chwaliła się, że jeszcze ma powodzenie u mężczyzn, ale z jakichś osobistych uczuć, przeżyć nie zwierzała mi się.
- A nie sądzi pani, że może kiedyś trochę flirtowała z tym fotografikiem?
- Nie wiem. Nic nie mogę powiedzieć na ten temat.
- Nie będę już panią dłużej zanudzał, pani Elżuniu. Dziękuję, że mnie pani odwiedziła. Proszę serdecznie pozdrowić ode mnie Jurka. I jeszcze tylko jedna sprawa. Będę musiał zatrzymać te pierścionki. To ważny materiał dowodowy.
- Ależ oczywiście. Doskonale rozumiem.
- To pamiątka rodzinna?
- Tak. Pierścionki mojej prababki. — Uśmiechnęła się. — Resztką dawnej świetności.

— Niech pani będzie zupełnie spokojna. Przechowam te skarby w kasie pancерnej.

Downar miał przed sobą niełatwe zadanie. Ze wszystkich rozmów, z całego materiału, od którego pęczniały teczki z aktami, trzeba było wyłowić istotne elementy, powiązać je ze sobą w sposób mniej więcej logiczny i stworzyć jakąś możliwie prawdopodobną koncepcję. To nie było takie proste, tym bardziej że właściwie żadna z przesłuchiowanych osób nie zasługiwała na zaufanie. Tylko jedna sprawa nie wzbudzała wątpliwości: obydwa te morderstwa miały ze sobą jakiś związek. Wszedł Pakuła.

— Słucham, towarzyszu majorze? Kazano mi się zgłosić.

— Siadajcie. Chciałbym z wami pomówić.

Sierżant usiadł i spojrzał z zainteresowaniem na Downara. Ten wstęp zapowiadał jakąś nową akcję, a Pakuła był stworzony do działania.

— Pamiętacie tę kukułkę?

— Tę nadzianą brylantami? Jasne, że pamiętam. Chciałbym mieć taką. Niechby nawet była bez zegara. Zegar nieważny.

Downar potrząsnął głową.

— Nie macie racji. Zegar ważny. Właśnie w tej sprawie was wezwałem. Musimy znaleźć ton zegar.

— Ba! Gdzie go szukać?

— To wasza rzecz. Jeżeli zegar nie znajduje się w prywatnych rękach, należy go szukać wśród zegarmistrzów, którzy zajmują się reperacją tego typu starych mechanizmów albo w antykwariatach. Sądząc po tej kukułce, to antyk.

Pakuła skrzywił się niewyraźnie.

— Bo ja wiem. Spróbuję. Trudna sprawa.

— Właśnie dlatego, że trudna, wam ją powierzam — powiedział Downar. — Dostaniecie paru ludzi do pomocy. Zależy mi na tym zegarze, bardzo mi zależy.

— A jeżeli nie ma go w Warszawie?

— To pojedziecie szukać na Wyspy Kanaryjskie — uśmiechnął się Downar.

Pakuła wyszedł. Downar oparł głowę na rękach i zamyślił się. Ciągle miał przed oczami chrystusową twarz Wacia Roweckiego. Tak był pogrążony w zadumie, że nawet nie słyszał skrzypnięcia otwieranych drzwi.

— Co się tak martwisz? — spytał Olszewski.

— A, to ty? Dobrze, żeś się wreszcie pojawił.

— Szukałeś mnie?

— Tak. Chciałem z tobą pogadać, ale gdzieś się włóczysz.

Porucznik usiadł i zapalił papierosa.

— Pracuje się, towarzyszu majorze.

— I jakież rezultaty tej pracy?

— Pewne rezultaty daje się zauważyć — Olszewski był w dobrym humorze. — A więc po pierwsze odwiedziłem naszych sympatycznych kolegów w biurze

paszportowym. Po dłuższych poszukiwaniach okazało się, że niektórzy nasi znajomi wybierają się za granicę.

— Spodziewałem się tego — powiedział Downar. — Co poza tym?

— Poza tym rozmawiałem z tą blondyną.

— Z Brygidą?

— Tak. Apetyczna dziewczyna. Taka przy kości, jak ja lubię. Czy wiesz, co mi powiedziała?

— Ze zjadłaby coś słodkiego.

— To swoją drogą. Musiałem jej w „Horteksie” zafundować ambroję i oprócz tego krem. Ale to mi się opłaciło. Dowiedziałem się, że pan doktor Mielczak kombinował coś z Czarnowskim.

Downar ożywił się.

— Interesujące. Jak doszło do rozmowy na ten temat?

— Zupełnie przypadkowo. Przyszła do „Hortexu” bardzo szykowna dziewczyna z dużą sportową torbą na ramieniu. Wtedy moja Brygidka powiedziała: „Zdziś obiecał mi kupić taką torbę, jak tylko wydebi forszę od tego doktora, ale nie zdążył. Szkoda”. „Od jakiego doktora?” spytałem. „Od męża tej głupiej Lucyny” odparła.

— Teraz już wiemy, przez kogo Lucyna poznała Czarnowskiego. Przez własnego męża.

— Otóż to — przytaknął Olszewski. — Ciekawe, jaką to forszę Czarnowski miał zamiar „wydebić” od Mielczaka?

— O ile się nie mylę, chcesz mi podrzucić nowego kandydata na mordercę — uśmiechnął się Downar. — Ano cóż... Podobno od przybytku głowa nie boli. Dowiedziałeś się może jeszcze czegoś od tej dziewczyny?

— Nie. W ogóle dosyć trudno z nią się rozmawia. Potwornie głupia.

— Musi jednak coś w niej być, skoro mężczyźni tak za nią szaleją — zauważył Downar. — Był tu przed chwilą u mnie Pakuła.

— No i co?

— Kazałem mu szukać zegara, który by pasował do naszej kukułki.

Olszewski pokręcił głową.

— Zupełnie niesamowita historia z tą kukułką. Wiele razy widziałem zegar bez kukułki, ale kukułkę bez zegara widzę po raz pierwszy w życiu. Czy rzeczywiście przywiązujesz taką wagę do tego zegara?

— Chyba tak. Jeżeli uda nam się go odnaleźć, automatycznie wpadniemy no trop tego kogoś, kto schował do kukułki brylanty.

— Nie sądzisz, że to Czarnowski?

— Nie wydaje mi się. Nie mam oczywiście pewności, ale...

— A może stara Wołczewska?

— Niewykluczone. Chciałbym jednak to sprawdzić. Ciekawe, co ona zrobiła z tymi wszystkimi swoimi skarbami? Ze złotem, walutą, zapewne jeszcze jakimiś kamieniami. Zawartość kukułki to pewnie tylko drobna część jej dóbr materialnych.

— Powiedz mi, ale tak zupełnie szczerze, czy masz już jakąś koncepcję w związku z tymi morderstwami?

—Koncepcję? Tok zupełnie szczerze? Nie mam żadnej koncepcji. Trochę za wiele poszlak. Koncepcji można mieć nieskończenie dużo. Wystarczy poźonglować trochę osobami, które mamy do dyspozycji. Ale trzeba przecież na czymś to wszystko oprzeć. Mało konkretnego materiału, diablo mało. W tej chwili jedno tylko nie ulega dla mnie wątpliwości, że obydwie te morderstwa są w jakiś sposób ze sobą powiązane.

— I że Czarnowski straszył babcię Wołczewską — dorzucił Olszewski.

— Oczywiście — przytaknął Downar. — Wykorzystał zamiłowania spirytystyczne starszej pani i wprowadzał jej do pokoju widmo zmarłego męża. Prawdopodobnie liczył na to, że wykończy ją na serce.

— A tymczasem ktoś jego wykończył — wtrącił Olszewski. — Swoją drogą dziwne, że Wołczewska nie zorientowała się, iż owa „zjawa” pochodzi z projektora.

— Wcale nie takie dziwne. Po pierwsze rzucał obraz na fotel, co dawało pewne specjalne złudzenie, po drugie nie robił tego wtedy, kiedy było ciemno w pokoju, a najważniejsze, że staruszka była nastawiona psychicznie na oglądanie duchów i że ją to ekscytowało. Trochę się bała, trochę ją to podniecało. Pomyśl, co to za niezwykła atrakcja dla osoby, która chętnie kontaktuje się ze światem duchów.

— Czy sądzisz, że wreszcie Czarnowski się zniecierpliwił i spreparował jej tę miksturę?

Downar wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Nie możemy wykluczyć, że Czarnowski miał współnika albo współniczkę.

— I mogło wyniknąć jakieś nieporozumienie między współnikami.

— O, właśnie.

— Otrzymałem wezwanie i przyszedłem. Słucham?

— Proszę, niech pan siada — Downar tym razem zrezygnował z towarzyskich uprzejmości. Przybrał całkowicie urzędową postawę. Głos jego brzmiał sucho, oficjalnie

. — Zaprosiłem pana do komendy, ponieważ potrzebne nam są pewne wyjaśnienia. Czy pan znał niejakiego Zdzisława Czarnowskiego?

Krótką chwilą wahania.

— Znałem. Tak. To była zupełnie przelotna znajomość.

— Wie pan, że Czarnowski nie żyje?

— Słyszałem o tym. Podobno przejechał go samochód.

— To nie wypadek. To było morderstwo popełnione z premedytacją.

— O...!

— Chciałbym się dowiedzieć, jakiego rodzaju interesy prowadził pan z Czarnowskim?

— Interesy? A jakież ja mogłem prowadzić z nim interesy?

— Panie doktorze — Downar pochylił się nad biurkiem. — Otrzymaliśmy informacje, że pan był winien Czarnowskiemu pewną kwotę pieniężną. Czy mógłby pan wyjaśnić, z jakiego tytułu powstał ten dług?

Twarz doktora Mielczaka nabiegła krwią.

— Dlaczego właściwie pan mnie wypytuje o takie rzeczy, panie majorze? Chyba pan nie przypuszcza, że to ja zabiłem Czarnowskiego?

— Zupełnie nie rozumiem pańskiego zdenerwowania — powiedział spokojnie Downar. — Popelniono morderstwo, a właściwie dwa morderstwa. Została zamordowana Wanda Wołczewska oraz Zdzisław Czarnowski. Obie te osoby znał pan osobiście i nie tylko pan je znał, ale nawet był pan winien pieniądze Czarnowskiemu. Nic może się pan dziwić, że w tej sytuacji oczekuję od pana jakichś wyjaśnień. Oczywiście nie jest pan w tej chwili obowiązany odpowiadać na moje pytania ani nic wyjaśniać. Zwracam tylko uwagę, że jeżeli sami zdobędziemy potrzebne informacje, bez pana pomocy, to pańska sytuacja może wyglądać wtedy o wiele gorzej aniżeli obecnie.

— O czym pan w ogóle mówi?! — wykrzyknął Mielczak. — W jakiej ja, według pana, znajduję się sytuacji?

— Panie doktorze... — Głos Downara złagodniał i zabrzmiał cierpliwą perswazją. — Zupełnie niepotrzebnie się pan irytuje. Przecież możemy porozmawiać spokojnie jak dwaj dorośli mężczyźni.

— No więc dobrze! — wybuchnął Mielczak. — Byliśmy w „Grand Hotelu” i pożyczyłem od Czarnowskiego dwa tysiące złotych. Czy to panu wystarcza?

— To się okaże — uśmiechnął się Downar. .

ROZDZIAŁ V

Pakuła nie zasypiał gruszek w popiele. Od rana do wieczora jeździł na motorze po całej Warszawie, zaglądając do sklepów, sklepików, budek na bazarach, a nawet do prywatnych mieszkań hobbystów, zbierających przeróżne stare graty. Gdy tylko zobaczył gdzieś samowar, dziewiętnastowieczną lampę czy też szablę z czasów powstania styczniowego, zaraz schodził z motoru, oglądał, szperał, wypytywał, a nawet wyjmował z kieszeni „piersiówkę” i częstował, jeżeli oczywiście uważał ten gest za pożyteczny dla sprawy. Nikt jednak nie słyszał o zegarze bez kukułki. Przeważnie wruszano ramionami, a byli i tacy, którzy niedwuznacznie stukali się palcem w czoło.

— Panie kochany — mówili tonem łagodnej perswazji, jakiego używa się w rozmowie z dziećmi albo z wariatami. — Czego pan właściwie szuka? Albo zegar jest z kukułką, albo w ogóle bez kukułki. To się nie zdarza, żeby kukułka wyfrunęła z zegara. Daj pan spokój,

Sierżant Pakuła nie należał jednak do ludzi, którzy się łatwo zniechęcają. Nie ustawał w poszukiwaniach, odwiedzając również pracownie zegarmistrzów,

którzy ewentualnie mogli się interesować zabytkowym zegarem. Wreszcie jego trud został uwieńczony niespodziewanym powodzeniem.

Któregoś popołudnia zmęczony i w nie najlepszym nastroju zatrzymał się na rynku Nowego Miasta. Poczul pragnienie. Wstąpił więc do „Bombonierki”, żeby się napić coca-coli. Siedział przy stoliku, sączył brunatny płyn, który mu nie smakował, i rozmyślał nad tym, gdzie by tu jeszcze poszukać tego nieszczęsnego zegara? Zależało mu ogromnie, żeby go znaleźć. Wiedział, że Downar pokłada w nim duże nadzieje i nie chciał go zawieść. Poza tym wchodziła w grę jego sława pierwszego w komendzie „szperacza”. „Kto nie wyszpera, to nie wyszpera, ale Pakuła zawsze wyszpera” mawiali koledzy.

I nagle olśnienie. Przecież tu zaraz, na Franciszkańskiej jest taki mały sklepik ze starociami!

Zerwał się, zapłacił i nie czekając na resztę wybiegł z kawiarni. Był tak pod-ekscytowany, jakby już miał w ręku upragniony zegar.

50

Starsza, siwa pani powiedziała uprzejmie:

— Tak. Mieliśmy taki zegar, o jakim pan mówi.

Pakule z wrażenia zaschło w gardle.

— I..., i co się z nim stało? — spytał drżącym głosem.

Siwa pani spojrzała na niego nieco zdziwiona.

— Sprzedaliśmy go — odparła obojętnie.

— O rany! — Pakuła nie panował nad sobą. — Komu pani go sprzedała?

— Pewnemu starszemu panu.

— Może pani wic, jak on się nazywa?

— Nie wiem, jak się nazywa, ale znam go z widzenia. Mieszka tu niedaleko, na Kościelnej.

Pakuła wypadł ze sklepu, pognał na Kościelną. I wreszcie znalazł.

Mieszkanie było ciemne i bardzo zagracone. Przeważały zegary, pochodzące z najrozmaitszych epok. Mały, drobny człowieczek o odstających uszach i zupełnie łysej głowie nieufnie spojrzał spoza okularów na przybysza.

— Pan sobie życzy? — Głos miał nieco schrypnięty, nieprzyjemny w brzmieniu.

Pakuła wyjaśnił cel swojej wizyty.

— Tak, mam taki zegar. Kupiłem go niedawno. Właśnie zabrałem się do reparaacji mechanizmu. Muszę tylko znaleźć kogoś, kto by mi zrobił kukułkę. A pan kto? Może z milicji?

Pakuła zmieszał się. Był po cywilnemu i przenikliwość starego zegarmistrza zaskoczyła go. Doszedł jednak do wniosku, że nic ma sensu odgrywać jakiejś komedii.

— Tak. Jestem z milicji. Ten zegar łączy się z pewną sprawą, którą obecnie prowadzimy. Czy mógłbym go zobaczyć?

Właściciel odstających uszu zniknął za potężną gdańską szafą i po chwili wrócił, niosąc typowy dziewiętnastowieczny zegar, z którego powinna wyskakiwać kukułka i wykukiwać godziny. Kukułki jednak nie było.

Pakuła uważnie, obejrzał zegar, a następnie wyjął z kieszeni drewnianego ptaszka.

— Czy ta kukułka pasowałaby? — spytał.

Staruszek z kolei przyjrzał się kukułce, umieścił ją w mechanizmie, coś tam postukał, popukał i oznajmił:

— Pasuje, tylko dlaczego taka pokrojona?

Pakuła nie odpowiedział. Z powrotem schował do kieszeni kukułkę.

— To pan jest zegarmistrzem.

— Ano, jak pan widzi. — Stary uśmiechnął się kwaśno. Brakowało mu dwóch przednich zębów i zapewne dlatego jego głos był czasami trochę świszczący. — Ale ja, panie kochany, już teraz niezawodowo. Czasem coś po znajomości komuś zreperuję, ale w ogóle to pracuję dla siebie. Zegary to takie moje hobby, jak się teraz mówi. Jeżeli mi się uda coś ładnego tanio kupić, to kupuję. Potem zreperuję, odnowię i cieszę się, jak chodzi. Zdarza się, że coś sprzedam, jeżeli potrzebuję na życie, ale na ogół nie lubię sprzedawać zegarów. Żał mi. Dzisiaj mało jest takich ludzi, którzy kochają zegary, bardzo mało i mało takich, co się na zegarach znają. Teraźniejsi ludzie nie czują sztuki. Dla nich to tylko technika... Wodoszczelny, z kalendarzem, samonakręcany, różne „Doxy”, „Schaffhauseny”, „Omegi”. Na prawdziwy zegar mało kto teraz spojrzy. Nie te czasy... I nawet nie ma gdzie w tych nowych mieszkaniach ładnej rzeczy postawić. Widzi pan ten zegar tam na kantorku, ten z delfinami? Piękna robota. Pierwsze cesarstwo. Nie ma już teraz zegarmistrzów--artystów, którzy kochaliby swój fach. Wszystko upada, panie kochany, wszystko upada. Dzisiaj każdy tylko aby jak najwięcej pieniędzy wziąć za nic. Cóż robić... Czasy się zmieniają.

— Chciałbym od pana kupić ten zegar — powiedział Pakuła.

— Żałuję, ale on nie jest do sprzedania.

— Jak to nie jest do sprzedania?

— Bo to nie moja własność.

— Przecież pan kupił...

— Ktoś mnie prosił, żebym kupił dla niego. Powiedział, gdzie się ten zegar znajduje. Dał pieniądze.

— Kto taki?

— Jedna pani. A potem jakiś miody człowiek dowiadywał się o ten zegar. Pytał, kiedy będzie gotowy? Odpowiedziałem, że muszę znaleźć kogoś, kto by mi zrobił kukułkę. Bo bez kukułki ani rusz.

— Jak wyglądał ten młody człowiek?

— Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany.

Pakuła wyjął z kieszeni fotografię i rozłożył je na stoliku.

— Niech pan się dobrze przyjrzy. Czy na którymś z tych zdjęć poznaje pan tamtego młodego człowieka?

Zegarmistrz zdjął okulary i pochylił się.

— Tak. To ten — pokazał palcem. — A, jest i pani, która prosiła, żebym kupił ten zegar na Franciszkańskiej.

Downar z zadowoleniem poklepał sierżanta po ramieniu.

— Spisaliście się na medal. Dziękuję. Zaraz jedziemy na Franciszkańską. Zadzwoń tylko do Elżbiety. Musimy wykluczyć ewentualną pomyłkę.

Elżbieta przyjechała razem z Jurkiem, który był ogromnie zaintrygowany całą historią.

— Zdaje mi się, że zaczynasz, Stefanku, bawić się w zegarmistrza.

— Wszystko na to wskazuje — uśmiechnął się Downar. — Mam trochę kłopotu z kukułką bez zegara, z zegarem bez kukułki. Jak się bawić, to się bawić.

Z trudem wpełchnęli się we czworo do służbowej Wołgi.

Nie pojechali jednak na Franciszkańską, tylko na Kościelną, do starego zegarmistrza.

Był wyraźnie oszołomiony tak licznym gronem gości.

— Państwo w sprawie tej kukułki... To znaczy,, w sprawie tego zegara bez kukułki.

— Tak — powiedział Downar, — Jeżeli pan taki uprzejmy, to chcielibyśmy obejrzeć ten zegar.

Stary, tak jak za pierwszym razem, poszedł za gdańską szafę i przyniósł zegar.

Downar zwrócił się do Elżbiety,

— Niech się pani dobrze przyjrzy. Bardzo mi zależy na zidentyfikowaniu tego antyku. Czy to własność mamy?

— Oczywiście — powiedziała Elżbieta. — Nie mam wątpliwości. To na pewno zegar mamy. Pamiętam doskonale wszystkie zadrapania i rysy. Jeszcze jako dziecko lubiłam mu się przyglądać... O, widzi pan na tej ściance? Taka rysa w kształcie jakby głowy konia czy jelenia. Tak, tak, to ten zegar. Mogę przysięgać.

— Tego od pani nie wymagam — uśmiechnął się Downar. — Wiecie co?

Zaczekajcie na mnie w „Bombonierce”. Ja coś załatwię tutaj w sąsiedztwie i zaraz do was przychodzę. Chodźcie ze mną — zwrócił się do Pakuły.

Pani w sklepie na Franciszkańskiej była szczerze zdziwiona.

— Co? Znowu w sprawie tego zegara?

— Tak, jesteśmy z milicji.

— Boże drogi! To był kradziony...

— Niech się pani nie denerwuje — uspokoił ją Downar. — Nie mamy do pani żadnych pretensji. Potrzebne nam tylko pewne informacje, wyjaśnienia.

— Bardzo chętnie. Słucham? O jakie wyjaśnienia panom chodzi?

Downar wyjął z kieszeni kopertę, w której był komplet fotografii osób powiązanych w ten czy inny sposób ze sprawą. Niektóre z tych zdjęć znalazł w atelier Czarnowskiego, inne. polecił wykonać dyskretnie na ulicy.

— Czy pani przypomina sobie, od kogo nabyła pani ten zegar?

Skinęła głową.

— Tak. Pamiętam. To był bardzo przystojny młody mężczyzna w eleganckiej zamszowej kurtce. Pytałam nawet, gdzie kupił tę kurtkę. Odpowiedział, że przywiózł sobie z zagranicy, zdaje się, że z Danii. I to on ukradł zegar? Nie chce mi się wierzyć.

Downar wyjął z koperty fotografie i rozłożył je na starym, rzeźbionym stoliku.

— Czy pani odnajduje tu tego „bardzo przystojnego mężczyznę”?

Bez wahania wskazała zdjęcie Czarnowskiego.

— To ten.

— Jest pani pewna?

— Najzupełniej. Dobrze go zapamiętałam. Nieprzeciętna uroda. Prawdziwie męski typ. Teraz rzadko się takich ludzi spotyka.

— Czy pani z nim dłuższy czas rozmawiała?

— Tak, dosyć długo. Dopytywałam się, dlaczego w zegarze nie ma kukułki?

— A on co na to?

— Powiedział, że dzieci się bawiły i że wyrwały kukułkę, a potem gdzieś ją zgubiły.

— Czy ten przystojny młody człowiek przyjechał wozem, czy przyszedł na piechotę?

— Przyjechał zielonym wozem. Zdaje mi się, że Wartburgiem.

— Pani ma znakomitą pamięć. Bo to jednak było dosyć dawno.

Downarowi wydało się, że starsza pani leciutko się zaróżowiła.

— Jakoś mnie zainteresował ten klient i pewnie dlatego... Czasami tak się kogoś zapamięta.

Pożegnali jeszcze jedną adoratorkę Zdzisława Czarnowskiego, nic nie mówiąc oczywiście o jego tragicznej śmierci, i poszli do „Bombonierki”. Elżbieta i Jurek czekali na nich wytrwale.

— Bardzo was przepraszam, że tak długo... — powiedział Downar, siadając przy stoliku. — Napijcie się coca-coli? — zwrócił się do Pakuły.

Sierżant energicznie potrząsnął głową.

— Za żadne patyki. Dosyć mam tej aptecznej mikstury. Napiłbym się czegoś innego, ale tutaj nie podają.

Downar zamówił dla siebie kawę i spojrzał na Elżbietę.

— Więc pani jest zupełnie pewna, że to zegar mamy?

— Najzupełniej.

— Czy mama kiedyś może wspominała, że ma zamiar zrobić komuś prezent z tego zegara?

— Nie. Nigdy. Mama była raczej przywiązana do rodzinnych pamiątek.

— I tych pierścionków także by chyba nie sprzedawała, prawda?

— Wykluczone. To były dla niej bardzo cenne klejnoty. Pomijając wartość, ale... A zresztą nie musiała ich sprzedawać. Miała dosyć pieniędzy.

— Więc chyba możemy odrzucić hipotezę, że mama ukryła te pierścionki w kukułce, żeby je wywieźć wraz z inną biżuterią za granicę i tam spieniężyć.

Elżbieta energicznie potrząsnęła głową.

— To zupełnie nieprawdopodobne. Nie wierzę, żeby mama...

— Tak — przyznał Downar. — Mnie również wydaje się to mało prawdopodobne. Niech mi pani jeszcze powie, czy mama miała jakieś książeczki oszczędnościowe?

— Tak. Oczywiście. Miała kilka książeczek.

— Czy może upoważniła panią do podejmowania oszczędności?

— Tak. Na niektórych książeczkach mnie upoważniła, a na niektórych swoją przyjaciółkę, panią Krajnowską.

— To dziwne, że w mieszkaniu mamy nie znaleźliśmy ani jednej książeczki oszczędnościowej.

— Mnie także to zaskoczyło. Nie rozumiem...

— Istnieją dwie ewentualności — powiedział Downar, mieszając cukier w filiżance. — Albo ktoś zabrał te książeczki, albo mama gdzieś je tak schowała, że... To były duże pieniądze?

— Bardzo duże. Mama była bogatą osobą.

Jurek westchnął melancholijnie. Przydałoby się trochę gotówki.

Downar zamyślił się, następnie powiódł roztargnionym spojrzeniem po obecnych.

— Bardzo przepraszam, ale muszę was pożegnać. Zabieram ze sobą sierżanta. Płacę, oczywiście rachunek. ,Zadzwoń do ciebie, Jurku. Dziękuję.

— Wracamy do zegarmistrza? — spytał domyślnie Pakuła.

— Jakbyście zgodli. Muszę jeszcze to sprawdzić na sto procent.

Łysy staruszek nie zdziwił się specjalnie, bo prawdę mówiąc już go nic w życiu nie dziwiło. Cierpliwie wyniósł zegar z za gdańskiej szafy.

, — To pewnie jakaś kryminalna sprawa — powiedział bez najmniejszego zainteresowania. — Proszę, niech pan sobie ogląda, ile tylko pan sobie życzy. Mnie to nie przeszkadza.

Downar dokładnie obejrzał zegar i powiedział:

— Pan się zapewne domyśla, że jesteśmy z milicji.

Zegarmistrz pokiwał głową.

— Chyba nie tak trudno się domyślić. Czy panowie chcą zabrać ten zegar?

— Nie. Natomiast chcielibyśmy pana prosić, żeby pan nikomu nie mówił o naszej wizycie i żeby pan dał nam znać, jeżeli ktoś zgłosiłby się po ten zegar. Zostawimy panu nasz numer telefonu.

Staruszek namyślał się przez chwilę.

— To mogę zrobić — powiedział wreszcie i spojrzał dziarsko, jakby powziął jakieś niezmiernie ważne postanowienie.

Downar rozłożył na stoliku zdjęcia. Zegarmistrz nieznacznie wzruszył ramionami.

— Już widziałem te fotografie. Nie musi pan pokazywać.

— Jeżeli panu to nie zrobi różnicy — uśmiechnął się Downar — chciałbym, żeby pan mnie pokazał, która to pani przyniosła zegar.

Wyschnięta, poźółkła dłoń posunęła się po blacie stolika.

— O. ta pani. A ten młody człowiek chciał go potem odebrać, ale mu nie dałem. Powiedziałem, że nie mogę wydać, bo go nie znam.

— A on dlaczego właściwie chciał od pana odebrać ten zegar?

— Mówił, że go ciotka przysłała i że chce z powrotem zegar, naprawiony czy nie naprawiony. Wszystko jedno.

— Czy pan nie pamięta, kiedy mniej więcej był u pana ten młody człowiek?

— Osiemnastego czerwca.

— Ol — zdziwił się Downar. — Jak to się dzieje, że pan tak znakomicie zapamiętał ten dzień?

— Bo to, proszę pana, były moje urodziny. Skończyłem osiemdziesiąt pięć lat.

Przyszedł mój wnuk z żoną. Przynieśli wino, ciasteczka, złożyli życzenia. I wtedy właśnie zadzwonił ten młodzieniec. Powiedziałem, że mu zegara nie wydam i nie wydałem.

Olszewski niecierpliwił się.

— Gdzież ty tyle czasu siedzisz? Nie mogę się doczekać.

— Kształcę się na zegarmistrza — uśmiechnął się Downar. — Mosh coś do mnie?

— Mam dla ciebie coś, co cię powinno zainteresować. Podjęła forszę.

Downar ożywił się.

— Co ty powiesz? Dużo?

— Trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Wkład z dwóch książeczek. I zaraz spiknęła się z waluciarzami. Była także w „Locie”.

Downar zatarł ręce.

— Zdaje się, że dobijamy do mety. Mam nadzieję, że załatwiłeś w biurze paszportów?

— Oczywiście. Nie bój się, nie wyfrunie ani z kukułką, ani bez kukułki. A co zegarmistrz?

— Z zegarem w ogóle jakaś dziwaczna historia. Czarnowski sprzedał go w takiej rupieciarni na Franciszkańskiej, potem Krajnowska kazała zegarmistrzowi odkupić zegar i zreperować. potem znowu Czarnowski chciał go odebrać, ale stary mu nie wydał. Diabli wiedzą, o co to chodziło.

— Jakieś nieporozumienie rodzinne — uśmiechnął się Olszewski. — Niedługo się dowiemy.

ROZDZIAŁ VI

Pani Helena Krajnowska przysłała do komendy w pogodnym, beztróskim nastroju. Tak przynajmniej mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Była uśmiechnięta. Wesoła, zachowywała się swobodnie, a nawet z pewną dozą nonszalancji. Miała na sobie doskonale skrojoną sukienkę z szarego tweedu, ożywioną drewnianymi koralami koloru dojrzalej wiśni. Zegarek na złotej bransoletce, w uszach kolczyki z brylancikami, a na palcach pierścionki z półszlachetnymi kamieniami.

— Otrzymałam pańskie zaproszenie, panie majorze, i przyszłam, jak mogłam najprędzej. Czy znowu potrzebuje pan jakichś informacji dotyczących biednej Wandeczki?

— Tak. Chciałbym panią jeszcze prosić o pewne wyjaśnienia w sprawie śmierci pani Wolczewskiej oraz śmierci pana Czarnowskiego.

— Czarnowskiego? — zdziwiła się Krajnowska. — Nie znam takiego człowieka, nigdy nie znałam. Czy to może jakiś krewny Wandeczki?

Downar skrzywił się z niesmakiem. Ta kobieta była głupsza, aniżeli przypuszczał.

— Bardzo ładną ma pani sukienkę — powiedział niespodziewanie.

Trochę była zaskoczona, ale uśmiechnęła się kokieteryjnie i odruchowo poprawiła kołnierzyk.

— Pan zwraca uwagę na takie rzeczy? • — Na różne rzeczy muszę zwracać uwagę w mojej pracy. Sukienka jest rzeczywiście bardzo ładna, tylko trochę niepraktyczna.

— Ależ przeciwnie, bardzo praktyczna. Downar z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Nie jestem tego taki zupełnie pewien. Zresztą to zależy od okoliczności. Widzi pani... tweed ma to do siebie, że pozostawia dość wyraźne tak zwane mikroślady. Otóż nasz Zakład Kryminalistyki, który, mówiąc nawiasem, stoi na bardzo wysokim poziomie, wykrył w wozie Zdzisława Czarnowskiego mikroślady właśnie takiego szarego tweedu, z którego pani ma zrobioną sukienkę. To do prawdy przedziwny zbieg okoliczności, że właśnie dzisiaj włożyła pani tę sukienkę.

Krajnowska straciła swój dobry humor. Przybladła.

— Nie rozumiem, o co chodzi. Nie tylko ja noszę sukienkę z tweedu. Przecież...

— Oczywiście — przytaknął Downar. — W wozie Czarnowskiego mogła siedzieć zupełnie inna kobieta w tweedowej sukience albo mężczyzna w tweedowym garniturze czy też w tweedowej marynarce. Sprawę komplikuje fakt, że w Wartburgu Czarnowskiego znaleziono odciski pani palców.

Już odzyskała zimną krew. Wzruszyła ramionami.

— Doprawdy nic pojmuję, do czego pan zmierza? Czyżby pan nie wiedział o tym, że w Warszawie bardzo wielu właścicieli samochodów wozi przygodnych pasażerów „na łebka”? Być może, że jechałam kiedyś tym wozem, o którym pan mówi.

— Argumentacja pani byłaby może przekonywająca, gdyby nie pewien drobny szczegół. Pani linie papilarne znaleziono na kierownicy, a przecież żaden właściciel samochodu nie oddaje kierownicy przypadkowemu pasażerowi. Krajnowska milczała. Widać było, że ogromnym wysiłkiem woli usiłuje zapamiętać nad nerwami.

— Poza tym — ciągnął dalej Downar — Zdzisław Czarnowski sprzedał na Franciszkańskiej zegar, z którego została wyrwana kukułka. Następnie pani poleciła starymu zegarmistrzowi odkupić ten zegar i naprawić go, wstawiając nową kukułkę. Musiała więc pani dobrze znać Czarnowskiego. Bardzo niezręcznie pani skłamała. To było złe posunięcie. Czy pani wie, o co jest pani podejrzana? O popełnienie morderstwa na osobie Czarnowskiego, jak również o zamordowanie Wandy Wołczewskiej.

Krajnowska była trupio blada.

— Ja jej nie zabiłam. To on... To on!

— Kto? Czarnowski?

— Tak. To on. Ja jej nie zabiłam.

— Więc jednak okazuje się, że pani wcale nieźle znała Czarnowskiego.

Znaleźliśmy nawet pani linie papilarne w jego mieszkaniu. Może to panią dziwi, w jaki sposób zdobyliśmy jej odciski palców? Nic trudnego, szczególnie jeśli w grę wchodzi osoba często bywająca w kawiarniach. Zamienienie szklanki to zupełnie prosta sprawa.

— Więc byłam śledzona. Downar pokiwał głową.

— Oczywiście. Od czasu naszej pierwszej rozmowy obserwowaliśmy panią dość uważnie.

— Jestem niewinna, panie majorze. To wszystko Czarnowski. On wszystko obmyślił. To ,był podły człowiek.

. — Jestem skłonny przypuszczać, że to była spółka — powiedział Downar. — Najprzód obmyśliliście zabawę z tym „duchem”. Otworzyła usta ze zdumienia.

— To pan wie?

— Tak, wiem. Znaleźliśmy zarówno otwór w ścianie, jak i projektor i odpowiednie taśmy filmowe. Mieliście nadzieję, że pani Wołczewska tak się przejmie tymi zjawami, iż umrze na serce. Jakoś jednak nie umierała, a natomiast domagała się zwrotu kosztowności, dolarów i książeczek oszczędnościowych. Wszystko to swego czasu dała pani na przechowanie w obawie, żeby jej nie okradł mąż. Po jego śmierci trzeba było zwrócić te bogactwa, a niełatwo się rozstać z takim majątkiem. Ponieważ pani Wołczewska nie miała zamiaru umrzeć na serce, postanowiliście sprawę załatwić za pomocą strofantyny domieszanej do digitalisu. A jeżeli chodzi o śmierć Wołczewskiej, to nie Czarnowski ją zabił, tylko pani ją otruiła. Znowu daktyloskopia. W pośpiechu niedokładnie wytarła pani butelkę z lekarstwami. Znaleźliśmy odcisk palca wskazującego. Była pani tamtego wieczoru u „przyjaciółki” i podała jej to „lekarstwo”.

— To nieprawda!

— Prawda, Wiedział o tym Czarnowski i zaczął panią szantażować, domagając się dużych pieniędzy. Miał zamiar zagarnąć prawie cały majątek Wołczewskiej. Groził, że panią zadenuncjuje jako morderczynię. Trudno było się pogodzić z życiem w ciągłym strachu, aż wreszcie postanowiła pani zlikwidować Czarnowskiego. We wtorek osiemnastego czerwca pojechaliście do Otrębus, gdzie mieszka pani siostra. W drodze doszło między wami do bardzo ostrej kłótni. I w lesie, kiedy Czarnowski wysiadł na chwilę z wozu, pani siadła za kierownicą... Po dokonaniu morderstwa pojechała pani do Wawra, gdzie zostawiła pani zielonego Wartburga. To chyba wszystko. Jeżeli w moim opowiadaniu są pewne luki czy jakieś nieścisłości, to będę pani wdzięczny za rzeczową korektę. Helena Krajnowska dostała gwałtownego ataku hysterii.

Downar gwizdał tak fałszywie, że wreszcie Olszewski nie wytrzymał i przerwał pisanie na maszynie.

— Domyślam się, że to ma być aria z „Madame Butterfly”, ale jeżeli nie jest ci obce uczucie litości, to błagam cię, przestań.

Downar spojrzął ze zdziwieniem na porucznika.

— Nie podoba ci się? Nie lubisz „Tam na wschodniej stronie”?

— Lubię, tylko niekoniecznie w twoim wykonaniu. Rozumiem, że ci ulżyło po zakończeniu tej cholernej sprawy, ale może pójdziemy do Łazienek. Tam sobie swobodnie pośpiewasz, pogwizdziesz. Na razie pozwól mi się skupić. Muszę skończyć to sprawozdanie. Aha... chciałem cię zapytać, jak to właściwie było z tym zegarem?

— Ty ciągle jeszcze myślisz o tamtej sprawie?

— Muszę to przecież jakoś zredagować. Więc...?

— To proste. Miała Wołczewska zegar z kukułką, w którym chowała dolary, tak przynajmniej powiedziała Krajnowska podczas drugiego przesłuchania, a nie widzę powodu, żeby tym razem jej nie wierzyć. Otóż zegar z dolarami Wołczewska w swoim czasie zaniósła na przechowanie do swojej serdecznej przyjaciółki. Przyjaciółki przyjaciółki, czyli Czarnowski wpadł na genialny pomysł, żeby wyjąć z zegara kukułkę i umieścić w niej brylanty, które miał zamiar razem z innymi kosztownościami Wołczewskiej szmuglować za granicę. Kukułkę, nafaszerowaną brylantami, chciał sobie powiesić w wozie jako maskotkę. A zegar sprzedał. Zrobił to oczywiście bez wiedzy Krajnowskiej. Ta, kiedy się o tym dowiedziała, pobiegła do zegarmistrza, kazała mu odkupić zegar i zreperować go. Bała się, żeby z powodu tej rodzinnej pamiątki nie wyniknęły jakieś kłopoty. Myślała, że Elżbieta zacznie się o niego dopytywać, dopominać, a to byłoby jej nie na rękę. Po śmierci Wołczewskiej Czarnowski doszedł do wniosku, że w ogóle należy coś zrobić, żeby zatrzeć wszelki ślad po zegarze i po kukułce. Dlatego chciał odebrać zegar od zegarmistrza, który mu go nie wydał. Tego samego dnia Krajnowska zlikwidowała swojego współnika w Otrębusach.

— Po jakiego diabła pojechali do Otrębus?

— Tam gdzie mieszka siostra Krajnowskiej. Przynajmniej tak twierdzi Pakuła, który badał tę sprawę. Otóż Krajnowska poprosiła Czarnowskiego, żeby ją zawiózł do siostry. Trudno zgadnąć, w którym momencie powzięła postanowienie zlikwidowania go. Nie wiem, czy była już na to zdecydowana namawiającego na jazdę do Otrębus, czy też przyszło jej to do głowy, kiedy znaleźli się w lesie. Zresztą to w tej chwili nieważne.

— Bardzo szybko się załamała .— powiedział Olszewski.

Downar pokiwał głową.

— Tak. Ja także myślałem, że to pójdzie dużo oporniej. W rezultacie nie okazała się zbyt sprytna.

— Powiedz mi, Stefanku, od jak dawna ją podejrzewałeś?

— Właściwie od pierwszej wizyty w komendzie. Od chwili kiedy upudrowała sobie nos.

Olszewski spojrzał zdziwiony.

— Upudrowała sobie nos...?

— Tak. Może nie zwróciłeś na to uwagi, ale to jest czynność niezmiernie charakterystyczna. Bardzo często kobieta w jakimś niezręcznym dla niej momencie zaczyna się pudrować, żeby pokryć zmieszanie lub zyskać na czasie. Kiedy wymieniałem nazwisko doktora Kozielskiego, Krajnowska wyjęła z torebki puderniczkę. Była zaskoczona tym, że w notatkach Wołczewskiej znaleźliśmy numer telefonu Kozielskiego. Wtedy zdecydowała się powiedzieć o tej recepcie na strofantynę. Bała się, że sprawdzimy.

— Na to pudrowanie nosa bym nie wpadł — przyznał Olszewski.

Downar uśmiechnął się.

— A widzisz. Czasami jakiś pozornie nic nie znaczący szczegół może pomóc. Jak nazwiemy tę sprawę?

— „Kukułka bez zegara”. Pasuje. Nawet niezły tytuł do powieści kryminalnej.

Kukułka bez zegara

Autor:	<u>Zygmunt Zeydler-Zborowski</u>
Tytuł:	<i>Kukułka bez zegara</i>
Wydawnictwo:	Iskry
Seria:	<u>Ewa wzywa 07</u> Zeszyt nr 79
Rok wydania:	1975
Nakład:	100000